



Betcikowski Adam.

Anna z Krajewskich Nakwaszka

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1887.

TOM II.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLVI.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO

ulica Królewska, N. 29.

1887.



ANNA Z KRAJEWSKICH NAKWASKA.

Do rzędu kobiet, które w pierwszej połowie naszego stulecia wybitniejszą odegrały rolę, należy niewątpliwie i Anna Nakwaska. Nie odziana tym urokiem co wysokiego rodu i wyższej jeszcze duszy autorka Malwiny, mniej zasłużona niż skrzętna o dobro młodszych pokoleń Tańska, występuje ona jako ich współczesna i to z odębną, właściwą sobie fizyognomią, a choć niepoślednimi zdolnościami obdarzona, ciekawsza jeszcze może niż autorka jako okaz pewnego typu kobiecego swojej epoki.

Nie możemy się skarżyć na brak źródeł do opisanja jój życia i poznania jój osobistości; jest ich tyle, że wystarczyłoby to do skróślenia niejednej postaci nieporównanie znakomitszej w naszej literaturze. Oprócz niektórych wiadomości, pochodzących od innych osób, posiadamy jój własne wspomnienia czyli pamiętniki, wprawdzie do pewnego tylko czasu sięgające, i znaczny zbiór listów z lat 1806 do 1816, przechowany obecnie w Muzeum archeologiczném uniwersytetu krakowskiego, a stanowiący część bardzo obfitęj korespondencyi, jaką Nakwaska ze swoją ukochaną siostrą Teresą Rastawiecką przez lat 30 prowadziła.

Moglibyśmy przeto dużo miejsca zapelnąć jój biografią. Ale będziemy się starać o możliwą treściwość i pomijając, co się ściśle do naszej autorki nie odnosi, co się z dziejami jój życia i umysłowego rozwoju nie łączy, będziemy wybierać te tylko wiadomości i daty, które mogą rzucić światło na jój osobistość, czy to w charakterze kobiety-Polki z epoki nader ciekawej, czy to w charakterze autorki.

I.

Anna Krajewska urodziła się 1781 r. w Warszawie, gdzie ojciec jej, jako wysoki urzędnik w Komisji skarbu, jako instygator koronny, stale przemieszkował. Tutaj, w tém mieście zawsze przez nią serdecznie kochaném i będącém później widownią, na której w różnych rolach ale z niemalém zwykle powodzeniem występowała, odebrała pierwsze wrażenia życia, pierwsze wychowanie i wykształcenie. Bardzo wczesnie jednak zaczęła również poznawać życie wiejskie, życie szlacheckich dworów i magnackich na prowincyi pałaców razem z urokami natury, które na bruku miejskim nie istnieją. Co lato „ogromna poczwórna karoca“ wspólnie z resztą rodziny zawoziła ją daleko od Warszawy, do Gołębia, leżącego w Lubelskiem między Wieprzem a Puławami, który nie był dziedziczną własnością jej ojca ale starostwem, dołączonem niegdyś do posagu matki przez króla Stanisława Poniatowskiego. Była to okolica samemi prawie siedzibami magnackimi zasiana. W najbliższém sąsiedztwie Gołębia leżały Puławy Czartoryskich, Lubomirskiego Opole, Mniszchów Dęblin, Celejów Sewerynowej Potockiej i Kurów Ignacego Potockiego. Pańska atmosfera i najwyższe salonowe wykształcenie panowały przeważnie w tej okolicy, której z innej strony dodawało znów pewnego uroku i to, że w niej stale przemieszkował Książnin, a nieraz do niej zaglądał Niemcewicz.

Rodzina Krajewskich nie liczyła się do najwyższej arystokracji, należała jednak do tych wyższych rodów szlacheckich, które z magnaterią czy to przez pewne koligacye, czy przez stosunki przyjacielskie często się stykają. Marszałek Mniszech z sąsiedniego Dęblina nieraz rodziców Anny w Gołębiu odwiedzał, a ks. Aleksander Lubomirski z Opola „ściłą przyjaźnią“ z jej ojcem był złączony. Łatwo się domyślić, że i cały tryb życia na dworze Gołębskim i w domu Krajewskich w Warszawie był także do tonu panującego w ówczesném wyższém towarzystwie zastosowany, i że przeważną jego cechą była przemożna wówczas w wykształceniu, w zwyczajach i w sposobie bycia francuszczyzna. Ojciec Anny, więcej dawnego kroju „Sarmata“, wychowany u Teatynów i w palestrze, nie bardzo chętnie do tych modnych wyobrażeń i obyczajów się skłaniał, ale za to matka całą duszą była im oddana i po za francuskim językiem, francuską literaturą i edukacją nic więcej w świecie nie widziała. Ten drugi wpływ zwyciężył niestety! i chociaż ojciec upominał: „Nie każ też waćpani tyle tej francuszczyzny naszych dziewcząt uczyć“, skończyło się na tém, że „córkom ani słowa po polsku z so-

bę mówić nie było wolno“ i że „zaledwie pacierza i katechizmu początki po polsku się nauczyły.“ Literatura francuska za to kwitnęła w najlepsze w domu pani instygatorowej i całe młodsze pokolenie, składające się z dwóch córek i syna, rozczytywało się bardzo pilnie w klasykach francuskich i chociaż niewątpliwie nie zawsze dobrze ich rozumiało, nosiło się nad nimi pod przewodnictwem zagorzałej matki i guwernantki francuskiej.

Wiele zajmujących scen, wiele ważnych wydarzeń przesunęło się przed oczami młodzietkiéj Anny, obdarzonej z natury umysłem bystrym i spostrzegawczym, „od dzieciństwa (jak się sama wyraża) usposobionej do uważania i zapisywania w wspomnieniu swoim tak ważnych jako i drobnych codziennego życia wypadków.“ Widziała sejm wielki, powstanie Kościuszki, w którym znacznie starszy jéj brat Stanisław zginął pod Krupczycami, widziała wreszcie w końcu XVIII stulecia zupełną zmianę stosunków, od szczytu do fundamentów, w tym kraju, w którym się urodziła. Wskutek tych przeobrażeń rodzinne jéj miasto, Warszawa, dostało się pod panowanie Prus. Niedługo potem osiemnastoletnia Anna wyszła za mąż (1799 r.) za starszego od niéj o dziesięć lat Franciszka Nakwaskiego, zacnego i wykształconego obywatela.

Życie młodym małżonkom upływało naprzemian to na wsi, we własnym majątku, to w Warszawie. Któż nie zna, jaką wówczas, za tak zwanych „czasów pruskich“ była Warszawa? Rozległy handel zbożem, jaki się wtenczas otwarł zagranicę, wielka mnogość kapitałów, które z obcych stron do stolicy napływały, zrodziły powszechny dobrobyt, a za nim poszła nieograniczona, do szalu dochodząca chęć używania. Jak gdyby nigdy nie było kataklizmu, przez który kraj dopiero co przeszedł, z niepojętą lekkomyślnością, z zadziwiającem zapomnieniem bawiono się i hulano na wszelki możliwy sposób i pod sławną „Blachą“ u pani Vauban, i w kasynie pana Ledoux, i na publicznych redutach i na balach i obiadach po prywatnych domach. Jedyném zajęciem wówczas był handel i zabawy, ludzie ówczesni „tylko smacznie jeść, ochoczo tańczyć, obcym językiem z sobą rozmawiać i w karty grać umieli.“ Kiedy w urzędach i w szkołach różlegał się obowiązkowy język niemiecki, w towarzystwach nadających ton miastu, po staremu panowała francuszczyzna, odziedziczona po minioném stuleciu, a wzmocniona obecnie napływem emigrantów francuskich, szukających tu przed rewolucją schronienia, i chwilowym pobytem królewskiego dworu Ludwika XVIII. Teatr polski, który Bogusławski z całym wysileniem, jako ostatni jeszcze przybytek narodowej mowy, utrzymać się starał, był dla tego towarzystwa „*de mauvais goût*“, ucześnieście do

niego nazywało się „*patriotisme d'antichambre*“, ale równocześnie potomkowie niedawnych hetmanów i wojewodów, ubolewając nad t \acute{e} m, że nie mają u siebie fracuskich aktorów, zawiązywali się w domu pani Vauban w amatorskie towarzystwo do odgrywania sztuk francuskich.

Nakwaska należała do tego wielkiego świata i do jego zabaw. Bywała pod Blachą, jako jedna z kapłanek Dziudzilli, skakała wraz z innymi „w greckich lekkich szatach“ w żywym obrazie wyobrażającym zaślubiny Mieczysława z Dąbrówką, a przedstawionym w teatrze oranżeryi w Łazienkach na imieniny pani Stanisławowej Potockiej, i jak łatwo pojąć, sama przesiąknięta francuszczyzną, zwyczajami tego świata się nie gorszyła, i jeżeli co ją w nim raziło, to jedynie zła francuska wymowa niektórych amatorów-Polaków w teatrze pani Vauban. Zdaje się jednak, że mąż j \acute{e} y nie podzielał tych wyobrażeń, bo jemu przypisują wpływ na pewną zmianę, jaka w tym czasie w Nakwaskiej zaszła, t \acute{e} zwłaszcz, że dotąd nie umi \acute{e} jąca napisać listu, ani kilku słów grzecznych po polsku do kogo powie \acute{d} zieć, znaczne postępy w języku ojczystym uczyniła. Około tego czasu bywała ona często także w domu Sołtyków, z którymi przez m \acute{e} ża była spokrewnioną, i tam „słyszała przy obiedzie uczonego Dmochowskiego, t \acute{l} omacza Iliady, dowcipnego Osińskiego, który ju \acute{z} wtedy niektóre arcydzieła tragików francuskich trafnie przepolszczył i czcigodnego Kopczyńskiego.“ Mo \acute{z} e w t \acute{e} m towarzystwie po raz pierwszy dowiedziała się, że istnieje także jakaś literatura polska, że s \acute{a} jacyś polscy autorowie i literaci, którzy i wiersze polskie i gramatyki piszą. Dość, że to otarcie się o świat uczony polski nauczyło ją pewnego szacunku dla ojczystego języka i pewnego do niego przywiązania, nie w tym stopniu jednak, a \acute{z} eby język francuski, tak jak dawniej, nie pozostał j \acute{e} y ulubionym i potocznym językiem.

Przy samym końcu tych „czasów pruskich“ zaszedł wypadek dosyć wa \acute{z} ny w życiu Nakwaskiej. W styczniu 1806 r. mo \acute{z} e po raz pierwszy rozłączyła się ze swoją siostrą Teresą. Rozdział ten był na czas dłu \acute{z} szy, bo nastąpił zapewne wskutek wyjścia za m \acute{e} ż Teresy za Ludwika barona Rastawieckiego i rozłączał siostry daleko od siebie, bo kiedy Anna pozostawała w Warszawie, siostra j \acute{e} y przenosiła się w odległe szczególnie na owe czasy strony, bo w okolicy Zamościa do Nowosiołek. Jak się to nieraz zdarza, obie siostry łączyła gorąca, a \acute{z} do pewnego idealnego sentymentu podniesiona miłość. To pewna, że Nakwaska nikogo więcj \acute{e} y od siostry wtenczas nie kochała. Syn j \acute{e} y Henryk ur. 1800 był jeszcze zbyt młody, a \acute{z} eby w nim znalazła serdecznego towarzystwa, stosunek j \acute{e} y z m \acute{e} żem, chocia \acute{z} to zał \acute{e} dwie siódmy rok upływał jak się pobrali, zdaje się

był więcéj na szacunku niżeli na gorącój miłości ugruntowany,— zupełnie w guście owego wieku, który w małżeństwie poprzestawał na konwencyonalnéj przyzwoitości i wielkich afektów nie wymagał. Przez odjazd siostry uczuła się zatém Nakwaska bardzo osamotnioną i pozbawioną najmiłszéj towarzyszk i powiernicy wszystkich uczuć i myśli. Możemy sobie wyobrazić, że pożegnanie obu siostr było bardzo łzawe, a do pewnego stopnia nawet melodramatyczne, że ubolewały nad swoim losem, że przysięgały sobie wieczną miłość i pamięć, i przyrzekały, że choć ciałem od siebie rozłączone, duszą ciągle żyć z sobą będą. Niewątpliwie postanowiły jak najczęściej pisywać do siebie, a Nakwaska musiała nawet obiecać, że będzie spisywać dziennik czy pamiętnik, w którym donosić będzie siostrze o wszystkiém co jéj tylko dotyczyć może, co będzie robić, co będzie myśleć każdéj niemal chwili, i co się będzie działo w tym świecie, w którym się obracała.

Taki musiał być początek téj obfitéj korespondencyi Nakwaskiéj do siostry, o którój powyżéj wspomnieliśmy, a która, jak dodać musimy, z wyjątkiem czasem niektórych ustępów, ciągle po francusku była prowadzona. Pierwszy zaraz list, pisany na drugi dzień po rozłączeniu się, zaczyna się z pewnym patetycznym nastrojem, w którym czuć świeże wspomnienia nieprzebrzmiałych jeszcze wzruszeń: „Zaczynam mój dziennik dzisiaj rano, kochana Tereso i strzedz się w nim będę daremnych narzekań, bo takie już nasze przeznaczenie kochać się i pisać do siebie zawsze. Trzeba się temu poddać i mieć nadzieję, iż przyjdzie kiedyś czas, że połączymy się z sobą tam, gdzie już nie ma rozłączenia i gdzie wieki gubią się w niezmierzonéj wieczności. Jedyna to nadzieja, która mię utrzymuje, i tylko myśląc o przyszłości, spodziewam się jeszcze jakiegoś promyka szczęścia; obecność dręczy mię albo nudzi, a przeszłość tak mało ma przyjemnych wspomnień. Nie potrzebuję ci mówić, że myślałam tylko o naszych podróżnych przez cały dzień wczorajszy.“

By nie naprowadzać czytelnika na błędne wyobrażenia, pośpieszamy co rychléj dodać, że pierwszy to i ostatni raz takim sentymentalno - patetycznym tonem pani Nakwaska w korespondencyi swojéj się odzywa. Podobna nuta nie zgadzała się z jéj wesołym temperamentem i z jéj energiczném i żywém usposobieniem. Niedługo téż, w tym samym jeszcze liście, jak gdyby nigdy nie była pisała o téj nadziei pozagrobowéj, o tym czasie, „który je złączy tam, gdzie nie ma rozłączenia i gdzie wieki gubią się w bezmiarach wieczności“, przerzuca się nagle, z elastycznością umysłu właściwą szczególnie kobietom, do rzeczy i spraw życia potocznego, przesyła wiadomości o balach, teatrze, redutach, obiadach i piknikach, do-

nosi siostrze, jakie są najświeższe mody i o tém, że pod Błachą „jak szalona“ tańczyła.

W tym tonie pisana jest cała jój korespondencya. Donosi jój o sobie wszystko, co myśli że ją ująć może, a czasem także o innych, co ciekawsze i bardziej intrygujące salonowe wieści; zwierza się przed nią ze swych projektów, myśli i uczuć z całą szczerością i zaufaniem, nie myśląc wcale o tém, żeby kiedyś ktoś inny oprócz jój siostry mógł jój listy odczytywać. Interesa rodzinne, kłopoty gospodarskie i finansowe, później odukacya syna nie mało w tój korespondencyi zabierają miejsca. Siebie samę, jako kobietę i damę z wyższego świata, z charakterem właściwym początkom naszego wieku, wybornie Nakwaska w swoich listach nakreśliła, ale i historyk wydarzeń politycznych znajdzie w nich także niemało materiału w tych rysach drobnych i anegdotycznych, w tych zapiskach pod wrażeniem pierwszej chwili na papier rzuconych, które są tak doskonałym komentarzem i ilustracją poważnej historii, i niektóre lepiej nieraz niż urzędowe opisy malują ludzi i wypadki. Korespondencya Nakwaskiej z siostrą wypadła w czasach nadzwyczaj ciekawych; dość powiedzieć, że obejmuje ona epokę, w której potęga Napoleona doszła do zenitu i stoczyła się w przepaść, a równocześnie te lata, w których jakby w grze hazardowej, raz z zyskiem, drugi raz ze stratą, ale zawsze wśród wzruszeń i niepokojów bez końca, rozgrywały się tyle razy losy naszego kraju. Nakwaska i o tych politycznych wydarzeniach pilnie donosi swój siostrze, a to, co jój pisze, jest zawsze prawdziwe i wiarogodne, bo nasza korespondentka była kobietą rozumną, która pragnęła dobrze poinformować swych krewnych o wypadkach, mogących mieć wpływ na ich los obecny i przyszły, która nie powtarzała pierwszej lepszej plotki z ulicy lub salonu, ale posyłała wiadomości niewątpliwe, zaczerpnięte z najpewniejszego, urzędowego źródła albo z własnego widzenia.

Upadek pruskiej potęgi pod Jena i wejście Francuzów do Warszawy (1806 r.) przeistoczyło nagle tamtejsze towarzystwo. Był to niby silny grom, który ocucił wszystkich z dziesięcioletniego odurzenia i letargu. Z otwierającemi się niespodziewanie nadziejami nowe uczucia i myśli owładnęły całym społeczeństwem; jakby za skinieniem czarodziejskiej różeczki zniknęły dawna lekkomyślność i epikurejski sybarytyzm. „Trefnisie i dramatyczni aktorowie (jak się wyraża o tój przemianie Nakwaska w swoich *Wspomnieniach*), zrzuciwszy przyjacielski mundur, dosiedli w oka mgnieniu koni i przyjęli dawne znaki.“

To przebudzenie się rycerskiego ducha nie usunęło jednakże na bok ani festynów, ani zabaw i balów—owszem stały się one teraz jeszcze świetniejsze, bo im towarzyszyły urok zwycięstwa i sławy nadzieją podniecone patryotyczne uczucie. Marszałkowie i generałowie Napoleońscy i królowie z jego ramienia po większej części ludzie nie przeszli jeszcze przez granicę młodości, świecili w Warszawie swoje gody zwycięzców a miejscowi mieszkańcy raczyli ich nawzajem i przyjmowali całym sercem. Że kobiety ważną przy tém odgrywały rolę, o tém podobno nie trzeba przypominać; że Nakwaska, która jeszcze za pruskich czasów tańczyła do upadłego i dla zabaw i strojów „zadłużała się po uszy,“ i teraz nie zalegała pola, tego się łatwo domyślić. Kiedy w trzydzieści lat później zbierała w swojej pamięci wspomnienia z owych czasów, czuć z jak rzewném utęsknieniem i pewnego rodzaju dumą zwracała się myślą ku owym niezapomnianym chwilom. Bo téż nie każda mogła mieć podobne wspomnienia jak ona, która na pierwszym balu wyprawionym na zamku dla Murata tańczyła kontredansa, nie umiejąc go jak wszystkie jeszcze wówczas Polki, z księciem Borghese mężem pięknej Pauliny siostry Napoleona; która później przy przedstawieniu dam w sali obrazów na zamku stała obok pani Walewskiej w chwili, kiedy Napoleon nagle się przed niemi zatrzymał i zawołał: „*Oh, qu'il y a de jolies femmes à Varsovie!*“; albo która jeszcze później, na jednym z balów u Murata, siedząc z szczęści innymi kobietami przy małym stoliku w wieczery „miała zaszczyt ujrzeć siadającego obok siebie Wielkiego Napoleona.“ Trzeba się przenieść myślą w owe czasy, przypomnieć sobie jaki niezrównany urok cesarz Francuzów na tamtoczesnych ludzi wywierał, aby zrozumieć, jakiego znaczenia nawet tak drobne wypadki przez jego osobę nabierały i jaką wagę miało każde zbliżenie się do niego. Nic dziwnego, że i Nakwaska była tym blaskiem olśniona, i że mogła jeszcze w trzydzieści kilka lat później powiedzieć: „Zbliżenie się do wielkiego człowieka na zawsze przyjemne wspomnienie w mojej, jako i zapewne towarzyszynek moich pamięci zostawiło.“

Po ustanowieniu księstwa Warszawskiego to życie rozochoczone długo nie ustawało, i Nakwaska często musiała zdawać sprawę siostrze z tych „wieczystych festynów“ i z tego życia „zabójczego dla zdrowia i kieszeni“. Wprawdzie nowy dwór króla Saskiego nie wiele się do podniecenia tych zabaw i dodania świetności przyczynił, bo jak się Nakwaska nieraz uskarża, był nudny i monotony, ale pod Blachą, u marszałka Davousta i po różnych arystokratycznych domach prześcigano się w przepychu i w wynajdowaniu czegoś nowego i tak że naprzykład po festynie danym na urodziny księcia Jó-

zefa przez panią Tyszkiewiczową wszyscy Francuzi zgodnie oświadczyli, że „i we Francyi i w Paryżu nie widzieli nic tak pięknego.“ Była to najwyższa zapewne pochwała, jaką można było oddać gustowi i elegancyi wielkiego świata Warszawskiego. Nakwaskich żona mowiała także w tym czasie i poważniejsze myśli. Pan Francuski od czasu ustanowienia nowego porządku wszedł do służby publicznej i starał się o posunięcie w niej wyżej. Potrzebne mu to było nie tylko dla honoru ale i dla materyalnej korzyści. Handel zbożem niedawno jeszcze tak ożywiony, wskutek zmiany stosunków politycznych upadł prawie zupełnie; majątki przynosiły bardzo małe i niepewne dochody; utrzymanie armii francuskiej, tworzenie własnego wojska i rozmaite kontrybucye pochłaniały ogromne sumy i wyniszczały kraj. Wszędzie dawało się uczuwać niezadowolnienie i słychać było skargi na nędzę i nieład. Jak inni tak i Nakwascy odczuwali ten przykry stan rzeczy, zwłaszcza że i długów dawniejszych mieli dosyć. Jakiś czas spodziewali się zażegnać to przesilenie sprzedaniem pewnej części majątku, mianowicie Lipin; skończyło się jednak tylko na korzystnym ich wydzierżawieniu. Jakaś wyższa pensya od rządu wielceby im więc wygodziła, ale trudności były niemałe, bo podobnych kardyatów nie brakło; tylko drogą intrygi można było dojść do czegoś „a kto gruntownie nie posiada téj umiejętności (skarżyła się Nakwaska przed siostrą), nic tu nigdy mieć nie będzie i nic nie otrzyma.“

Z początkiem roku 1809 zanosilo się na wojnę z Austryą. Ta „przeklęta wojna“ niemało zatrwożyła Nakwaską z tego szczególnie powodu, że nie pozwoliłaby jej odwiedzić siostry w Nowosiołkach, jak sobie to już przez całą zimę układała. Jakoż gdy wojna w istocie wybuchła; musieli pozostać w Warszawie; a na Nakwaskiego, który wtenczas był konsyliarzem prefektury, zwałił się ogromny ciężar najrozmaitszych trudów i zajęć. „Bywają czasy (pisze Nakwaska), gdzie ani w dzień ani w nocy nie ma odpoczynku i ja z nim; już mi się szczerze ta sytuacja przykrzy. Wiem, żebym mogła chociaż z trudnością do was jechać, ale czyż mogę go opuścić. O tém myśleć nawet nie wypada. Teraz go porzucać byłoby to okrucieństwem“. Niepokojona zmiennymi losami téj wojny jedynie w listach tylko mogła się pocieszać nadzieją, że kiedyś z ukochaną siostrą się zobaczy: „Ach, Tereniu, kiedyż się zobaczymy, kiedy będziemy mogły śmiać się albo płakać razem, kiedy wszystkie te troski, niepokoje i niepewności ustaną? Żyjemy tylko przyszłością, a tu przyszłość coraz bardziej się od nas oddala i nie zapowiada nam nic prócz mgieł i chmur.. kiedyż to wszystko się rozjaśni?“ Tymczasem, oczekując téj lepszej przyszłości dopomagała mężowi w jego pracy i to wcale

nie na żarty. Jój biegłość w języku francuskim i zdolność pisarska, która się już w jój korespondencyi pokazuje, uczyniły ją bardzo pożyteczną w kancelaryi męża. Odczytywała papiery urzędowe, poprawiała styl francuski, a nawet redagowała sama i to w nie lada jakich sprawach. Kiedy jój mąż po ukończonój szczęśliwie wojnie witał uroczystą przemową wojsko powracające pod księciem Józefem do Warszawy, Nakwaska donosiła później „pod sekretem“ siostrze, która tę przemowę w gazetach czytać musiała, że to jój było „dzieło od początku do końca.“ Przy takiej więc sposobności i w tak niezwykłej dla kobiety literackiej formie wystąpiła ona, choć pod osłoną drugiej osoby, po raz pierwszy na widownię publiczną, nie przeczuwając wtedy jeszcze zapewne, że kiedyś w ściślejsze wejdzie z literaturą stosunki.

Trudy i kłopoty poniesione przez Nakwaskich podczas tój wojny, która z chlubą i z powiększeniem obszaru dla księstwa Warszawskiego się skończyła, nie pozostały bez nagrody. Panu Franciszkowi podwyższono pensyą do wysokości 12 tys. zlot. Była to już pensya prefekta, chociaż prefektura, która jak widać była gorącym celem jego życzeń, jeszcze tym razem go ominęła. Robicno nawet zabiegł, ażeby go nakłonić do wyrzeczenia się pretensyi do tego miejsca na korzyść zapewne kandydata, który przyjemniejszym był ministrowi, tak że Nakwaska mocno wątpiła, czy mąż kiedy tę prefekturę dostanie, „nie mając za sobą prawie nikogo oprócz króla.“ Tymczasem powiększenie pensyi bardzo się im przydało, bo interesa finansowe w tych ciężkich czasach stały wcale nie świetnie. „Nasze Lipiny (wydzierżawione niedawno) ledwie wystarczą na opłacenie podatków, a przecież mamy z nich 20 tys. złotych w brzęczącej monecie. Z Małej Wsi, gdzie mieliśmy przepyszne zboże, nie sprzedaliśmy ani jednego korca. Tak więc jesteśmy zmuszeni żyć i utrzymywać się tylko z pensyi.“ W opinii publicznej i w znaczeniu towarzyskiem państwo Nakwascy w tym czasie również się także podnieśli bezwątpienia w skutek położonych zasług i okazanych zdolności ze strony męża i rozwinięcia towarzyskich przymiotów i właściwej sobie energii, jakie Nakwaska miała sposobność w tych burzliwych i ruchliwych chwilach pokazać. Zaczęła ona być wtedy osobą znaczącą w wielkim świecie warszawskim, a szczególnie między piękną jego połową, która dopiero teraz nauczyła się cenić jój przymioty i talenta.

„Czy wiesz, moja droga (pisze do siostry w końcu 1809 r.), że należę teraz do towarzystwa elegantek, mamy kolacje prawie codzień u gubernatora, u Bronikowskiej, u księcia Jabłonowskiego, u pani Stasiowej.“ Nakwaska wiedziała bardzo dobrze, że to urośnięcie w opinii zawdzięczała przychylnemu uśmiechowi, jakim ich for-

tuna w tych czasach obdarzyła, dlatego nie bardzo zachwycała się temi oznakami nagłej przyjaźni i z pewną ironią pisała o nich dalej do siostry: „Przebywam więc teraz ciągle w gronie elegantek, które mię nie bawią, ale które utrzymują, że ja je bardzo bawię, i które na jeden raz odkryły we mnie dowcip, chociaż mię znają od dzieciństwa.“

Ta popularność i salonowa sława Nakwaskiej urosła jeszcze bardziej, kiedy w styczniu 1810 jej mąż pomimo wielu przeciwności i intryg został nakoniec mianowany prefektem. Odtąd stawiała się i ona niejako „z urzędu“ jednym z najglówniejszych punktów środkowych towarzyskiego życia, a dzięki swoim naturalnym przymiotom stała się osobistością wziętą i modną, osobistością o którą się ubiegano i wszędzie widziano z przyjemnością. Młoda, w tym najefektowniejszym jeśli nie najpiękniejszym wieku kobiecym, w trzydziestu latach, urody niezwykłej i imponującej postawą i wzrokiem, wykształcona o ile nią mogła być kobieta w owiej epoce, bystrego umysłu i dowcipu gotowego zawsze utrzymać na wodzy każdego przeciwnika, nieustraszona i energiczna zarówno w zabawach jak i w poważnym zajęciu, należała Nakwaska do liczby tych szczęśliwych istot, które mogą, umieją, i mają sił podostatkiem do zakosztowania wszelakich przyjemności życia i do wyrobienia sobie w życiu towarzyskiem wybitnego stanowiska. Jeżeli dawniej, jeszcze za czasów Pruskich albo później w pierwszych latach księstwa Warszawskiego nie spoczęła jednej chwili na balu, nie opuściła żadnej zabawy i rozrywki, to teraz kiedy jej urok towarzyski i osobisty urosł, kiedy jako żona wysokiego urzędnika stała się figurą znaczącą, z tym większym zapalem i ochotą rzuciła się w wir tak częstych wówczas i do szalu nieraz posuniętych uciech. „Moja droga (donosi o sobie w tych czasach siostrze) rozwinęłam niesłychaną czynność, bywam na balach, na redutach, wszędzie gdzie się bawią, bo pania prefektową rozrywają sobie wszyscy i zajmują na wszystkie sposoby.“

Jest w tych słowach zapewne pewna doza kobiecej próżności zadowolnionej z tryumfów odnoszonych i odbieranych holdów, a taka próżność może zaprowadzić częstokroć młodą kobietę dalej niżli na to pozwalają moralność i przyzwoitość towarzyska. Ówczesna epoka tak pobłażliwie spoglądała na galanterię ze strony mężczyzn i na kokieteryę ze strony kobiet; stosunki miłosne i romanse wszelkiego rodzaju, nawet z pewną przymieszką skandalu, należały w niej do rzeczy będących na porządku dziennym; dokoła owoczesnych dam roilo się tylu młodych, dorodnych i walecznych polskich i francuskich oficerów—tak że widząc Nakwaską w samym wirze tego sza-

lonego życia, które zaślepiąło swym blaskiem i blichtrzem najzdrowsze oczy, a ciepło krwi do gorączkowej podnosiło temperatury, można się zapytać, czy ona nie była z liczby tych, co się dały zaślepić i unieść zadaleko rozdrażnionym nerwom?... To pewna, że nie wyszła całkiem bez skazy z pośrodku tych tysiącznych pokus i win rzeczywiście. Jeżeli nie zgrzeszyła w istocie, nie unikała pozorów do obmowy, i postępowaniem nie zbyt rozważnym, może wyzywającym niekiedy złośliwość opinii dawała powody do podejrzeń i plotek. Sama nie przyznawała się do niczego złego, rzeczy doszły jednak do tego stopnia, że musiała się usprawiedliwiać przed siostrą, że nieprawdą jest, co ludzie o niej mówią. Było to przy tej sposobności, kiedy mąż siostry Ludwik Rastawiecki po chwilowym pobycie w Warszawie powracał do siebie do domu, a Nakwaska mogła się spodziewać, że powtórzy przed żoną rozmaite obiegające o niej po Warszawie pogłoski. „Będzie ci zapewne (pisała wtedy) opowiadać dużo rzeczy na mój rachunek, a zwłaszcza te potwarze o moich chorobach, o mych szaleństwach, o hałasie, który robią w mojej łóży, o mojem wejściu do pewnego zgromadzenia, wreszcie Róg wie jak mię tam urządzi.“ W to wszystko nakazywała Nakwaska siostrze nie wierzyć i obiecywała jej w następnych listach ze wszystkiego się wytłomaczyć. Czy się wytłomaczyła, czy znów zapomniała to uczynić, nie wiemy, bo z istniejących listów jej korespondencyi żaden przyobiecane usprawiedliwienie się nie zawiera. Mamy jednakowoż silniejszy jeszcze może od takich słownych zapewnień dowód przemawiający bardzo na jej korzyść i rzucający pochlebne światło na cały jej stosunek do męża i na jej kobiecą moralność. Przed czterema blisko laty Nakwaska znalazła się w tej smutnej konieczności, że musiała się zwierzyć przed siostrą, że małżeńska konduita jej męża nie całkiem była bez zarzutu. Niejaka pani S., jak się o niej wyraża jej rywalka, „kobięta nad wyraz płaska i nikczemna,“ przez dłuższy czas trzymała pana Franciszka w swych więzach. Nakwaska cierpiała z tego powodu wiele, tak że ona, dla której korespondencya z siostrą największą była przyjemnością, przestała do niej jakiś czas pisać, „bo nie miała na to siły.“ Nakoniec po długich staraniach i usiłowaniach z jej strony związku te zostały szczęśliwie zerwane. „Moja cierpliwość i łagodność (chwali się Nakwaska przed siostrą) zwyciężyły wszystko.“

Ta „łagodność i cierpliwość,“ z jaką zaniedbana żona starała się powrócić męża na prawą drogę, jest właśnie faktem, który świadczy tak dobrze o charakterze, przekonaniu i moralnych pojęciach Nakwaskiej. Żona, która dba o posiadanie męża, i która w ten sposób rozwiązuje drażliwe kwestye małżeńskie, bez wywoływania awantur

i skandalów, przy pomocy tylko rozsądku i dobroci serca, daje zapewne najlepszą rękojmnię, że nie zapomni o tych swoich przymiotach i wtedy, gdyby jęj samęj zdarzyły się pokusy i sposobności do nadwyreżenia ślubnej przysięgi. Mimo zatęm niepoehlebnych dla nięj pogłosek, mimo tego że nawet jęj usprawiedliwienia się z nich nie mamy w ręku, wierzymy w to mocno, że w kardynalnych punktach nigdy ona nie przekroczyła granic obowiązków. Z drugięj strony nie mamy wcale zamiaru rozgrzeszać jęj z drobnych wybryczków i stawiać ją jako wzór kobiety wyższęj nad zwyczaję otaczającego ją a do lekkomyślności nader skłonnego świata. Cały ówczesny elegancki świat żył i oddychał romansowością; kobiety i mężczyźni kokietowali się nawzajem i umizgali do siebie nawet bez myśli o realnych korzyściach, nieraz po prostu dla mody i dobrego tonu. Szczególnie kobiety, które zawsze lubią zawracać głowy i żadnęm zwycięstwem, jakimkolwiek byłby przeciwnik, nie pogardzają, pokładają w tęg swą dumę, aby otaczać się jak^o największemi zastępmi wielbicieli i na każdym kroku ujarzmiac hołdowników. Wzdychano ciągle do siebie, sentymentalizowano na rozmaite tony, w sposób często uderzający w oczy; wszystkie wybitniejsze piękności, a zwłaszcza te, które oprócz powierzchownych darów natura obdarzyła także dowcipem i bystrością umysłu, ciągnęły za sobą roje młodych i starych adonisów, bo dla nich życie byłoby czeze i nudne bez ciągłych komplementów, uniesień i pochwał, bez tego dymu kadzidel, co robił z nich boginie, bez tych wzruszeń serca przerywających jednostajność dni, a które w gruncie rzeczy więcj miały w sobie teatralnęj iluzji niżeli prawdziwęj namiętności.

Taką była także i Nakwaska. Lubila zajmowac sobą, podbijać serca i zawracać głowy dla samęj przyjemności tryumfu, i dla tęg potrzeby sentymentu, ażeby czasem podumać i pomarzyć rokosznie w ciszy buduaru. W jęj listach są częste ślady podobnych sentymentalnych igraszek serca i fantazyi, których ona ani utajać ani osłaniać bynajmniej się nie stara. Najlepszą miarą tych przelotnych uczuć i stosunków nie sięgających daleko są komiczno-sentymentalne nazwy, jakie Nakwaska swoim wielbicielom nadaje, i żartobliwy ton, jakim się o tych niby serdecznych związkach odzywa. Kiedy w lecie 1810 bawila u siostry w Nowosiołkach, bardzo miłe wyniosła stamtąd wspomnienia, bo jak widać dużo tam padło ofiar jęj wdzięków i sprytu. Nawet świetny następującęj zimy karnawał w Warszawie nie zdołał zatrzeć w jęj pamięci tych wspomnień. „Warszawka *est toujours un* zabawne miasteczko (dla lepszej charakterystyki musimy ten ustęp listu przytoczyć w makaroniczno-francuskim języku oryginału) *il y a beaucoup de monde et on s'amuse tou comme autre-*

fois.... cependant l'été (dodaje z westchnieniem) *valait mieux et je regrette toujours*, że bodajto w Tomaszewskim powiecie (gdzie leżą Nowosiolki) pomiędzy hulaniem. *A propos de ces hulans*: ani jednego nie ma tu nigdy, *savez vous*, że ja tęsknię bez nich. *Dis leur cela de ma part et mande moi bien vite si S. est marié et s'il est tout aussi fou qu'autre fois, si le Pulkownik est toujours amoureux et enfin des nouvelles de tà us mes mizgranty de labas.*“ Gdzieindziej znowu tacy „mizgranci“ (od słowa umizgać się) nazywani bywają z niemieccka i więcej niby sentymentalnie „libami“, albo z francuska po niemieccku „*les liebe.*“ Nie wątpimy, że każda z naszych czytelniczek przeczytawszy te tytuły adoratorów Nakwaskiej i choćby jeden tylko taki ustęp z jej listów, jak ten który tu przytoczyliśmy, pomyśli sobie, że nasza pani prefektowa nawet w najświetniejszych swych czasach nie była przecież tak wielką grzesznicą, jakby się może wydawało, i że mąż jej mógł spokojnie zasypiać, nie trując się niepożrebłą zazdrością i gniewem bez racji.

Od upadku moralnego, od poddania się namiętności lub wybrykom fantazyi Nakwaską, więcej zapewne od ogółu ówczesnego salonowych kobiet, chroniło to, że miała silniejsze nerwy niż je ma zwykle słaba pleć niewieścia i głowę tęższą od niejednego mężczyzny. Ktoby się spodziewał, że ta młoda kobieta, szalejąca równo z drugimi na wszystkich balach i festynach, poświęcająca nieraz połowę dnia na toalety, wertująca starannie najnowsze paryskie żurnale, i co więcej ulegająca temu urokowi i olśniona tym blaskiem, jakim wówczas Napoleon całemu światu oczy zaćmiewał, miała przytém dosyć czasu do głębszego namysłu i tyle na to rozumu, ażeby osądzić położenie polityczne kraju i ocenić, czy ta budowa niedawno tak niespodzianie wzniesiona trwałą czy nie trwałą być może. „Pomimo naszych bied (pisała do siostry w połowie lutego 1811 r.) bawimy się doskonale... Ciekawa jestem jak długo to potrwa, ale to pewna, że nasze istnienie polityczne i towarzyskie jest jakąś sztuką czarodziejską; byleby tylko koniec nie był tragiczny“ a pod koniec tegoż samego roku wyrażała się innemi słowy w tej samej myśli: „Napoleon cudem nas wskrzesił, cudem się utrzymujemy i cud tylko może nas wyratować“. Zastanawiać się nad tém w chwili, gdy wszyscy upojeni byli najświetniejszymi nadziejami i ślepo wierzyli w gwiazdę bohatera wieku, znaczyło już wiele, a cóż dopiero, jeżeli kto jak Nakwaska przyszedł do tej konkluzji, że mimo chwilowych pozorów byt takiego kraju jak księstwo Warszawskie mógł być tylko efemeryczny i pozbawiony naturalnej podstawy. Nie wielu zapewne ludzi ówczesnych patrzyło tak trzeźwo, i tak jasno sobie zdawało sprawę ze stanu rzeczy.

Lata 1810 i 1811 były bezwątpienia najszczęśliwsze w jęj życiu; wtedy to ona w całym tego słowa znaczeniu była „wesolą i szczęśliwą prefektusią.“ Największém jęj utrapieniem w tym czasie mogły być chyba recepcye u dworu, na które z obowiązku, jako żona prefekta, stawiać się musiała. Sztynna i nudna etykieta panująca na zamku Warszawskim, bez królewskiej wystawności i przepychu, skoro nawet sama królowa chodziła w białej atlasowej sukni, która—jak opowiada Niemcewicz—była „dużo brudna“, nie zgadzała się ani z żywym temperamentem Nakwaskiej, ani z jęj gustem do elegancyi i wytworności. Chodziła też na te recepcye jak psotna pensyonarka na duchowne rekolekcye — w rzeczach, które dla innych były poważnemi, znajdując materją do żartów i śmiechu. „Dwór jak zawsze nadzwyczaj nudny i jednostajny (pisze w tym przedmiocie do siostry); już trzy niedziele z rzędu grywanó tam w karty, wczoraj miałam zaszczyt grać z królową. Wyobraź sobie mnie należącą do partyi wiska z królową saską, co chwila robiłam coś takiego, co nie było *richtig*, jedném słowem można z tego było umrzeć ze śmiechu.“

Ale niedługo miały przyjść inne i prawdziwe zmartwienia. 15-go marca 1812 przesłała Nakwaska siostrze pierwszą wiadomość o niezawodnej już wojnie z Rosją. Całe tłumy wojsk rozmaitych narodów zwaliły się na wycieńczone i zbiedzone księstwo Warszawskie i na departament, którego Nakwaski był urzędową głową. Zanim przyszło do rozlewu krwi na placu boju, już nieszczęśliwy kraj doznał wielu innych nie mniej dotkliwych okropności wojny. W samym warszawskim departamencie było 40 tysięcy i to po większej części obcych i drapieżnych żołnierzy, postępujących sobie jakby w zawojowanym kraju. Nakwascy odczuli bardzo to smutne ogólne położenie i własne z tego powodu kłopoty. „Co tylko potrzebne na żywność (pisze Nakwaska tym razem po polsku do męża swęj siostry), nasz rząd bierze w rek wizycyą; możecie sobie wystawić, jakie to jęki i narzekania. Sama czasem nie wiem, co się z głową moją dzieje, bo mając swojej biedy dosyć, cały dzień o cudzych nieszczęściach słyszeć muszę, a mój biedny Franciszek nie wiem jak wystarczy ze swoim zdrowiem, bo czasem nie tylko dzień cały, ale i noc przesiedzi na pracy.“ Wszyscy upadali pod ciężarami gotującej się wojny i pod grozą niepewnej przyszłości. Pomimo wiary w niezwycięzonego dotąd Napoleona, przecucie mówiło ludziom, że tu idzie gra o życie, że pytanie: być, albo nie być? ma się rozwiązać. Warszawa niedawno tak „zabawna“ i wesola, „stała się smutniejszą od grobu.“

Nigdy straszna rzeczywistość nie przeszła tak dalece najsmutniejszych przeczuć jak w tym pamiętnym 1812 roku. Niedługo

z Xerxesowej armii pozostały tylko nagie, zgłodniałe i zziębnięte niedobitki. Rząd księstwa Warszawskiego musiał ustąpić przed zwycięskim przeciwnikiem z Warszawy do Krakowa, a z nim także i prefekt Nakwaski i jego żona. Dziwna rzecz, i tutaj, „na emigracji“, rozpoczęły się znowu przerwane wojną bale i festyny, jak za najświetniejszych napoleońskich czasów. Osobliwa to była generacja, która знаła tylko dwie rzeczy: albo bić się, albo hulać, zarówno czy się zwycięży, czy się jest pobitym. Nie tylko że karnawał 1813 r. był w Krakowie „najprzyjemniejszym w świecie“, ale gdy się już skończył, długo jeszcze przeciągały się bale i zabawy. „Niekiedy chce mi się wierzyć (donosi Nakwaska siostrze w ostatnich dniach marca), żeśmy wszyscy poszaleli. Nikt o niczym nie myśli, tylko o tym, żeby tańczyć, biegać, śmiać się i bawić... to też wszyscy tu tańczą... inni jeżdżą konno, inni znów robią małe spacery *incognito*, jedni chodzą do botanicznego ogrodu, drudzy przenoszą mogiłę Wandy, albo pięknej Estery. Jednym słowem na tej ziemi starożytnych wspomnień tak silnego doznajemy złudzenia, że nam się zdaje, żeśmy się przenieśli w czasy Jagiellonów, gdzie wszystko kwitnęło w naszej ojczyźnie.“ Jeszcze w czasie karnawału, razem ze wszystkimi członkami rządu wiedzała Nakwaska Wieliczkę, uroczyscie z tego powodu iluminowaną. „Nie umiem ci opisać tego, co tam widziałam, taka to rzecz cudowna.“ Nie mniejszy zachwyłt obudziła w niej uroczystość wieczorna, urządzona w Sukiennicach na imieniny królewskie, której ostatnie ślady w malaturach ściennych i w drewnianych pająkach na sklepieniu zawieszonych dopiero niedawno przy restauracji tego gmachu (1879) zniknęły. „To niezmierne sklepienie, oświetlone kilkoma tysiącami świec, napełnione tłumami ludzi w świątecznych strojach... rozlegające się dźwięki muzyki... wszystko to wydawało się częms czarodziejskiem.“

Miejscowe towarzystwo krakowskie miało w oczach Nakwaskiej, przywykłej do modnego świata warszawskiego, minę za nadto sarmacką i zacofaną. „Towarzystwo tutejsze jest przyjemne, ale panuje w nim ton staroświecki i każdy dom przypomina mi dom starościny krakowskiej, gdzie dużo jedzono a mało się bawiono.“ Mieszkańcy Krakowa z serdecznym wylaniem się przyjmowali u siebie i ugaszczali „emigrantów“, lecz mimo tego, jak to zresztą z samej natury rzeczy wynika, utworzyło się z tej napływowej ludności odrębne koło towarzyskie, związane z sobą ściślej wspólnością doli, wspólnym interesem na dobie i niepokojem o przyszłość, wreszcie i podobieństwem wyobrażeń i zwyczajów, które z sobą z Warszawy przyniosło. Nakwaska wcale malowniczo przedstawia siostrze tę solidarność emigrancką, tę tęsknotę za tym co się porzuciło i usta-

wiczną ciekawość nowin, jakie u ludzi w podobnym położeniu zawsze powstają. „Oprócz festynów, które nam tutaj na wyścigi dają, mamy także nasze małe zgromadzenia emigranckie, gdzie skromny kotlet i filiżanka herbaty wydają nam się lepszemi od świetnych kolacy u tych, co nie byli zmuszeni opuścić wszystko, co im drogie, i gdzie przypominamy sobie z rozkoszą to swoją przyjaciółkę, to siostrę, to swój kominek, albo znów swoje łóżko, swój buduar lub nakoniec swoją lubą. Nie masz pojęcia o ciekawości, z jaką ludzie tu się spotykają z sobą, z jaką miną się zapytają: no cóż? czy miałeś listy? Trzeba widać nieszczęścia, ażeby jedność i przyjaźń kwitnęły....“ I tak wśród ciągłych zabaw i rozrywek, z niepokojem serca oczekiwano dalszych wypadków i chwili, w której to wszystko „czy tak czy owak się skończy.“

Lato tego roku spędziła Nakwaska jeszcze jako „emigrantka“ po części w Lubieniu z siostrą, po części z mężem w Bardyowie. Po raz pierwszy przy tej sposobności zwiedziła Galicyą i jadąc do Bardyowa przez Przemyśl i Dukłę, zachwyciła się pięknnością tych okolic: „mogliśmy do woli podziwiać ten piękny kraj. W niczem on nie ustępuje Niemcom i ma doskonale gościnie. Doliny, które San przepływa, są zachwycające.“ Niespokojność o syna, o którym rzadkie miemawała wiadomości i pragnienie, ażeby raz mózdz skończyć tę tułaczkę i powrócić do domu, zmniejszały znacznie przyjemność, jaką mogła mieć z tych letnich wycieczek do kąpiel. Na jesień życzenia jój spełniły się nareszcie. Interesa polityczne do tego stopnia już się ustaliły, że mogła powracać do Warszawy. Pomimo „strasznego smutku“ i życia nadzwyczaj monotonnego, jakie tam wtedy panowały, cieszyła się z tego, że jest znowu w Warszawie, tymbardziej, że i jój mąż przywrócony został do dawnych swoich urzędowych funkcji. Wiadomość o bitwie pod Lipskiem była nowym wstrząśnieniem, które ją równo z ogółem do głębi wzruszyło: „byliśmy tak nieszczęśliwi i zropaczeni przez piętnaście dni po wiadomości o tej nieszczęsnej bitwie pod Lipskiem, że ani myśli zebrać, a tymbardziej pisać nie można było.“ Ostatni promyk nadziei w Napoleonie pokładanych zgasł w dniu tej klęski, i trwoga o przyszłość jeszcze cięższa niż po Moskwie i Berezynie ogarnęła umysły,—dawniej choć wrzawa wojny i codzien świeże wiadomości rozrywały znękaną duszę, teraz zapanowała ponura i złowroga cisza, jakby przed burzą, która wszystko do szczeru zniweczyć mogła — „ubiegła zima ze wszystkimi swemi okropnościami nie da się porównać z tą jednostajnością boleści, w której obecnie wegetujemy.“ To też witając nadchodzący rok nowy (1814) spodziewała się Nakwaska, że „nie będzie przynajmniej tak obfity w klęski jak ten straszny rok

1813, który obecne i przyszłe pokolenia ze zgrozą wspominać powinny“ i z całego serca wzdychała do pokoju: „oh, mój Boże! gdyby nasze nieszczęście raz się skończyć chciało.“

Tymczasem Warszawa niedługo więcej ożywioną zaczęła przybierać postać. Ściągali do niej ranni i zdrowi oficerowie wojsk polskich, dotychczas pod rozkazami Napoleona walczących i prócz tego spora liczba francuskich jeńców, głównie oficerów, którym tutaj miejsce pobytu wyznaczono. Swoi i obcy po największej części byli bez grosza i potrzebowali pomocy i opieki. Nakwaska ze zwykłą sobie energią zabrała się do tego nowego obowiązku, nie tylko sama czyniła co mogła dla potrzebujących, ale i wszędzie przemawiała za nimi i do pomocy zachęcała. „Kaź robić u siebie — pisała między innymi do siostry — bawełniane czapki i szkarpetki dla jeńców, dla tych biedaków, nad których losem serce pęka.“ Jak powiadają, niejeden też Francuz do późnych lat zachował wdzięczne wspomnienie o jej dobroczynności i szlachetnej duszy.

Losy księstwa Warszawskiego miały się niebawem stanowczo rozstrzygnąć. Sprzymierzeńcy weszli do Paryża, a Napoleon opuszczony przez swoich musiał abdykować. Jeżeli dla nas dzisiaj upadek tej niezwykłej potęgi i niewidzianego dotąd w świecie geniuszu ma wszystkie cechy tragicznej katastrofy, którą wszechmocne fatum spuszcza na głowę śmiertelnika, to témbardziej tym, przed których oczami ten dramat się rozgrywał, wydawał się czémś niepodobnym do prawdy i przechodzącym niemal ludzkie pojęcie. Ciekawe zawsze są podobne świadectwa wrażeń pod świeżym wpływem wypadków wywołanych, a to, co pisze Nakwaska o upadku Napoleona, doskonale nam maluje uczucia, jakimi ogół społeczeństwa na wieść o tej katastrofie został przejęty. „Co powiesz na to, moja droga? — zapytuje się Nakwaska siostry — czy to sen, czy to rzeczywistość, czy to koniec świata? Jednym słowem, jakim sposobem tyle potęgi, tyle geniuszu i sławy mogło tak w nic się obrócić i zniknąć. Ten cud naszych czasów, ta chluba wieku, to zjawisko szczególne między wielkimi ludźmi, uznany za niebędącego przez własnych poddanych, wyjęty z pod prawa przez senat, który sam utworzył.“ Oburzenie wywołane zachowaniem się Francuzów podwyższało jeszcze grozę tych wypadków w uczuciu mieszkańców księstwa Warszawskiego. To też Nakwaska dodaje: „Nie zdołam ci określić, do jakiego stopnia oburza nas niegodne i nikczemne postępowanie ludu francuskiego; wszystkie klasy są tu tém przejęte; oto naród spodłony nazawsze i zgubiony w opinii terażniejszych i potomnych czasów.“

To gorące i pełne uwielbienia wspomnienie o Napoleonie jest zarazem ostatniem już w jęj listach. Nawet sto dni cesarstwa i bitwa pod Waterloo żadnych jęj nowych wynurzeń nie podyktowały. Ale czasy i wyobrażenia się zmieniły — uwaga, a poczęści i sympatyje ogółu w inną teraz zwróciły się stronę, w tę mianowicie, w której nowe pocieszające dla Polaków otworzyły się widoki. „Najpiękniejsze nadzieje“ ujrzano teraz w osobie cesarza Aleksandra I i od niego spodziewano się powrócenia utraconego bytu. Na zwycięski powrót cesarza z Paryża rozruszała się znowu i rozgorączkowała Warszawa. Nowe festyny i uroczystości publiczne stanęły znów na porządku dziennym. Wejście wojska polskiego do Warszawy, sprowadzenie zwłok księcia Poniatowskiego i tryumfalne przyjęcie cesarza napęlniły miasto wrzawą i radością, a sferom urzędowym dały niemal do czynienia. Na nieszczęście dotychczasowy prefekt a mąż naszęj autorki był w tym czasie słaby na febrę; więc znowu na Nawkaską spadła znaczna część tych ciężarów i trudów. Wszystkie przygotowania tych pięciodniowych uroczystości (od 8 do 13 września) „odbywały się w jęj pokoju.“ Potęm swoim porządkiem szły nieprzerwanie rozmaite bale i zabawy w rozochoconęj nowemi nadziejami Warszawie, a Nawkaska mniejszy lub większy udział zawsze w nich brała. W listopadzie wydała sama bal, który w. książę (Konstanty) z nią otworzył i z którego „bardzo był zadowolniony“, ale biedna gospodyni tak się umęczyła, że przy końcu zemdlala. Aż do końca prawie 1815 trwały te uciechy, którym nowęj podniety dodawały w tym czasie utworzenie Królestwa Polskiego i przyjazd z tego powodu cesarza Aleksandra do Warszawy. Przygotowania do przyjęcia monarchy szczególnie dużo zachodów i zabiegów kosztowały pleć piękną. Tyle balów i zabaw, tyle uroczystych wystąpień, a do każdego potrzeba nowęj i okazałęj toalety! Szczęściem, że magazyny warszawskie tym razem lepiej musiały być zaopatrzone niż w roku poprzednim, kiedy przy sposobności równięż cesarskiego przyjazdu wszystkie damy były w ostatnięj rozpacz, że żadna modystka nic gotowego nie miała, że towary nie przychodziły z zagranicy, i że chyba będą musiały wystąpić „*comme de veritables patriotes*“ w krajowych materyach, to jest w pajęczynie lub w kapuścianych liściach“, jak żartując sobie i z własnęj także biędy pisała Nawkaska do siostry.

Miasto wydawało na cześć cesarza bal kostiumowy w teatrze. Nawkaska była jedną z ośmiu gospodyń tego balu, i występowała w nim na czele grupy wieśniaczek ukraińskich, które miały „ubiór bardzo bogaty i bardzo piękny.“ Cesarzem Aleksandrem była oczarowana: „prawda (donosi siostrze, opisując jęj te warszawskie bale),

że tak pięknego i grzecznego monarchy to nie ma na świecie.“ Cesarz był ciągle „wesoly i uprzejmy“ i przyjmował także zaproszenia do prywatnych domów różnych dygnitarzy. Na jednym z takich balów zaszedł drobny wypadek, który jednak i na obecnych tam wywarł niezwykle wrażenie i do historii literatury przejść powinien, ponieważ główną w nim figurą był człowiek, zajmujący jedno z najcenniejszych miejsc w naszej poezyi. O ile nam wiadomo, nikt dotąd nie wspomniał o tym fakcie i w listach Nakwaskiej może jedyna o nim pamięć się zachowała, tém skrzętniej więc zapisujemy go do wiadomości powszechnej. Było to na balu u księżnej generałowej Czartoryskiej, który cesarz Aleksander zaszczycił swą obecnością. W grupie młodych chłopców, przebranych za rycerzy, figurował także czteroletni wówczas Zygmunt Krasieński. Czy przedtém już niezwykła jego inteligencya była znajoma, czy téż na balu przy jakiej sposobności ją pokazał, dość, że jak się to często w takich razach zdarza, wzięto cudowne dziecko na egzamin. Czteroletni erudyt świetnie się popisał „wymienił wszystkie stolice Europy“, a nadto zrobił sensacyą, która dla wszystkich była dziwnego rodzaju niespodzianką, bo kiedy powiedziano mu następnie, ażeby co zadeklamował, wypowiedział ten wiersz: *Tu dors Brutus, et Rome est dans les fers....* „Ten szczególny wiersz (dodaje Nakwaska) w ustach tego dziecka w takim dniu zrobił na mnie bolesne i niezwykle wrażenie, którego bym nie zdołała opisać. Czy ty to czujesz, moja droga, tak jak ja?“

W istocie ta deklamacya była niby drapiącym nerwy zgrzytem wśród harmonii świetnego balu, a w tym pierwszym publicznym głosie dziecka tłómaczącego swe uczucia jeszcze cudzemi słowami, czuć już przyszłego autora Irydyona.

Te świetne uroczystości na przyjęcie cesarza w listopadzie 1815 r. zamknęły szereg tych hucznych i wystawnych festynów, od lat kilkunastu tak częstych w Warszawie, któremi czczono monarchów i bohaterów wojennych, któremi objawiano swoje nadzieje patryotyczne lub radość z pomyślnych dla sprawy ogólnej wypadków, i którym prawie zawsze towarzyszyły wstrząsające całym narodem wydarzenia i nadawały im podniosły charakter świąt narodowych. Uspokoila się przez długi czas ciągle w Europie panująca zawierucha wojenna; święte przymierze zapanowało nad rewolucyą i Napoleonem; stosunki polityczne wróciły w dawną, powszednią koleją, a z niemi i życie całego społeczeństwa przybrało także normalniejsze znamiona. Zdaje się, że i dla Nakwaskiej czas ten był również kresem najświetniejszej epoki jęj życia światowego. Nie miała ona już nigdy potem tyle sposobności błyszczenia w dworskim i ele-

ganckim świecie, a i wiek także zaczynający się schylać ku jesieni życia mimowoli ją przymuszał do cofania się z téj areny, na której tylko młodość i świeże wdzięki zwykły zbierać oklaski i wawrzyny. W ostatnim roku (1816) jéj korespondencyi do siostry znikają bez śladu owe opisy balów i zabaw, sprawozdania o najświeższych modach i toaletach, równie jak i wiadomości o wydarzeniach politycznych—bo do tego wszystkiego zabrakło jéj materyału. Z wypadków bliżej ją obchodzących miała w tym czasie tylko do zapisania, że mąż jéj otrzymał upragnioną wstęgę św. Stanisława „ale drugiej klasy“, że przy zmianach, jakie zaszły w administracyi kraju został mianowany najprzód prezesem województwa Mazowieckiego czyli Warszawskiego, a po kilku miesiącach w październiku 1816 kasztelanem. „Nie masz wyobrażenia—pisze do siostry—ile ta sprawa tak prosta i sprawiedliwa kosztowała mię pracy.“ Zresztą pewne uczucie jednostajności i nudy przebija w jéj listach, zarówno kiedy w środku karnawału donosiła siostrze z Warszawy, że jéj życie „uchodzi téj zimy tysiąc razy gorzej niż na wsi,“ jak i w ciągu lata, kiedy siedząc w Małej wsi, skarżyła się, że „jest pozbawiona wszelkiej wygody i wszelkiego towarzystwa.“ Starania o edukacyą syna, której od paru lat więcej poświęcała uwagi, kłopoty o dobranie zdolnego guwernera, nie służące wcale do uprzyjemnienia życia, nie wystarczały z drugiej strony także i do wypełnienia czasu, którego żadne poważniejsze ani żywsze zajęcie nie absorbowało. Szczęściem znalazła Nakwaska niedługo coś takiego, co tę próżnię, jaką dokoła siebie i w sobie czuć zaczęła, wypełnić zdołało.

Jeszcze jako dama światowa i elegantka nie gardziła ona nigdy umysłowém zajęciem—zanadto na to była dobrze wykształcona i od natury rozumem i dowcipem obdarzona. Muzykę lubiła namiętnie, chociaż nie jako wykonawczyni ale więcej jako słuchaczka, znajdującą rozkosz w doskonałej grze artystycznej; książka, rozumie się tylko francuska, bywała także często w jéj rękach; w jéj korespondencyi znajdujemy kilka wzmianek o najnowszych utworach literatury francuskiej, np. o jakimś romansie: Naczelnicy Szkoccy albo o dziele pani de Staël: „O Niemczech“, które w jéj opinii nie znalazło tyle sympatyi co zachwycająca ją Korynna. O polskiej książce, o polskim jakimś autorze, chociaż z niejednym musiała się nieraz osobiście zetknąć nawet na wielkim świecie warszawskim, nigdzie za to ani pół-słowa. Nagle, na samym początku tego 1816 roku, który miał zamknąć epokę owego szalonego, w ustawicznych zabawach i uroczystościach spędzanego życia, pisze do siostry 26 stycznia, że jéj razem z listem posyła „sławny romans księżnej Wirtemberskiej, który tu (w Warszawie) zrobił epokę; wszyscy go sobie wrywają a księgarze nie mogą wydażyć go sprzedawać.“

Tym sławnym romansem—nie potrzeba czytelnikowi zapewne tego przypominać—była „Malwina czyli domyślność serca,” która w chwili, gdy ją Nakwaska tak przed siostrą zachwalała, kilka zaledwie dni swego istnienia na widowni publicznej liczyła. Losy zdarzyły, że tym romansem Nakwaska miała się dłużej i bliżej zajmować. Książka ta, jako pierwszy, zwłaszcza sentymentalny, romans polski, jako utwór kobiety a do tego jeszcze tak wysokiego rodzaju, zrobiła w ówczesnym literackim i eleganckim świecie w istocie niezwykłe wrażenie; do rąk Nakwaskiej dostała się właśnie w czasie, gdy ona w ciszy swego buduaru przypomina sobie z utęsknieniem niedawno minione bale i świetne uroczystości, których nic podobnego nie miało teraz zastąpić, i serdecznie przytém musiała się nudzić. Ten zbieg okoliczności sprawił, że dla zabicia czasu, dla rozerwania się i zajęcia czemś zwykle u nięj czynnego umysłu, wzięła się do tłómaczenia Malwiny na język francuski, i tym sposobem wieczory, poświęcane dawniej robieniu toalety i tańcom, przepędzała teraz „na pisaniu” — „jest-to jedyna rozrywka — pisze do siostry, którą mam.”

Przetłómaczyła najprzód dwa rozdziały: *Turnieje* i *Zakonnik*, które widać romantycznym swym kolorytem największe na nięj zrobiły wrażenie. Ktoś, komu swoje pracę odczytała, pochwalił ich przekład („*on les trouve très bien*“) i to zachęciło ją do dalszej roboty, 23 marca donosi siostrze, że cała jest oddana tłómaczeniu Malwiny, a nadto że zyskała sobie współpracownika w osobie pana Carnot. Był to ów członek rewolucyjnego konwentu, który z początkiem tego roku przybył do Warszawy i ponieważ niekiedy i rymami się zabawiał, przyobiecwał Nakwaskiej przetłómaczyć na wiersze francuskie romancę znajdującą się w pierwszym rozdziale Malwiny. Ta spółka literacka z taką znakomitością ucieszyła naturalnie Nakwaską i z pewnym rodzajem autorskiej dumy, żartem lekko pokrytej, donosiła o tém siostrze: „tak więc jestem współnikiem wielkiego człowieka, jak ci się to wydaje?” Carnot zawiódł jednakże nadzieje tłómaczki, i czy to brakło mu czasu, czy ochoty, dość że obietnicę nie dotrzymał, a romancę ułożył we francuskie wiersze ktoś nierównie mniej sławny i wielki od niego, mianowicie niejaki pan Verdelet, ówczesny guwerner syna Nakwaskiej.

Z Malwiną przeniosła się na lato do Maléj wsi. Robota postępowała szybko, bo pisała „prawie po całych dniach“, szukając w tém roztargnienia w swojej samotności. W połowie listopada donosiła siostrze (już z Warszawy), że „Malwina pójdzie zaraz do druku.“ W następnym roku 1817, zapewne w samym jego początku, wyszło tłómaczenie na widok publiczny w Warszawie we dwóch tomach p. t.

„*Malvina ou l'instinct du coeur. Traduit du polonais par une Polonaise.*“

Dla kogo był ten przekład francuski? Dla Francuzów pewnie nie, bo ci obcemi literaturami a zwłaszcza téż naszą w owym czasie wcale się nie zajmowali. Nakwaska nie myślała téż bezwątpienia o tém, ażeby tym narodowym utworem poszczycić się przed tymi, co za niedoścignionych mistrzów jak w literaturze w ogóle tak w szczególności w romansopisarstwie u większości ówczesnego świata uchodzili. Nie rozminiemy się zapewne z jéj własnymi intencjami, jeśli powiemy, że ten przekład francuski przeznaczala nie dla kogo innego tylko dla rodaczek księżny Wirtemberskiej, dla dam polskich z wielkiego świata. Dzisiaj coś podobnego, chociażby nią może i tak bardzo nie było, wydawałoby się gorsząca herezją, przed laty siedemdziesięciu było jednak rzeczą całkiem naturalną. Ówczesne damy, podobnie jak Nakwaska sama, lepiej niż po polsku umiały po francusku; czytając w oryginale dzieło księżnej Wirtemberskiej, nie zdołałyby go nie tylko należycie ocenić ale nawet i dobrze zrozumieć. Prócz tego wydawało się im, że tylko po francusku można oddać subtelniejsze i delikatniejsze uczucia, że tak mowa serca jak i opisy natury mogą brzmieć dobrze tylko w języku pani Genlis i Cottin. Przecież i tlómaczka sama była tegoż samego zdania, i nie dla własnej chwalby ale pewnie z przekonania o téj wyższości języka francuskiego, pisała w ciągu swéj pracy do siostry: „nie masz wyobrażenia, ile ten romans zyskuje w języku francuskim.“

Jakiegokolwiek zresztą były powody, które ją do podjęcia téj pracy skłoniły, przekład Malwiny wprowadził ją po raz pierwszy na drogę literacką, na którą może już oddawna jéj zdolności umysłowe i wykształcenie ją przeznaczały. Z ogłoszeniem tego romansu w języku francuskim dała się poznać Nakwaska w świecie Warszawskim jako literatka i niebawem téż, jak pisała, w miejscu dawnego salonu, który był miejscem popisu dla pięknych tancerek, i areną komeraży romansowych, otwarła poważny salon literacki, który nie miał się zamknąć aż prawie dopiero z chwilą jéj śmierci, i który przez ciąg lat przeszło trzydziestu przyjmował w swych ścianach uczonych i literatów kilku generacyi, różniących się od siebie nieraz o całe niebo w pojęciach i smaku estetycznym.

Powoli jednakowoż i z dłuższemi przestankami posuwała się Nakwaska po téj nowéj drodze, i jak w ogóle naprzód to powiedzieć musimy, nigdy zbyt wielką płodnością i twórczością się nie odznaczała.

Pierwszą jéj oryginalną, lub przynajmniej najpierwéj wydaną, pracą była rozprawa pedagogiczno-społeczna, drukowana w „Pamięt-

ku Warszawskim“ r. 1819 (Tom XIII. str. 456—463). Ktoś podpisany inicjałami A. G. umieścił w tém piśmie niedawno artykuł: O przyczynach oziębłości mężczyzn dla kobiet. Nakwaska, którą ten przedmiot jako żyjącą tak długo w wielkim świecie, mógł być zająć, wystąpiła z rodzajem polemiki przeciw temu artykułowi. Napisała nań odpowiedź już po polsku, ale czując swoją słabość pod tym względem, uczyniła to z wielką nieśmiałością: „Proszę przyjąć te słów kilka z pobłażaniem należném osobie, która nie znając gruntownie języka ojczystego, lepiej czuć jak się wysłowić umie“—powiadała we wstępie swój rozprawy. Nie przeszkodziło jój to jednak bynajmniej, aby w treści samój wystąpić stanowczo, bezwzględnie i śmiało przeciwko temu systemowi edukacyjnemu, którego niedobrych skutków sama nieraz na sobie doświadczyła. Wychowanie i wykształcenie ówczesne kobiece potępia bezwzględnie, zarzucając mu zupełną czczość naukową, niepraktyczność a nawet szkodliwość w dalszych stosunkach życia. Słowa jój tak są trafne, i tyle w nich czuć prawdy, tyle aluzji można z nich zrobić do dzisiejszych czasów, że warto je nawet w dłuższych wyciągach przytoczyć. „Żądaniem powszechném mężczyzn jest—powiada Nakwaska—żebyśmy mówiły i pisały zawsze ojczystym językiem; ale go nas nie uczą tylko niańki nasze, a i te nawet już nie bywają Polki, tylko Francuski, Angielki albo Szwajcarki. Chcą, żebyśmy były rządne w domu, gospodynie na wsi, znające się na tysiącnych szczegółach wiejskich, a później na interesach, i opiekowały się czasem majątkiem małoletnich dzieci zawiązanym i spustoszoną, spłacały długi i trudniły się wychowaniem synów; lecz chcąc nas do tego wszystkiego sposobić, uczą nas haftować, rysować, grać na klawikorcie i sądzić o literaturze francuskiej. Jeżeliby zaś broń Boże panna odważyła się rozmowę rozsądną prowadzić, albo się chciała objaśnić o jakim przedmiocie z jój codziennych wyobrażeń wychodzącym, przypisują jój pedantyzm, wykwinne wychowanie etc. etc. i pewnie każdy konkurent stronić od niej będzie.“

Tak więc błędna opinia, niezdrowe wyobrażenia ogółu utrzymują ten fałszywy system edukacji w całej swój sile. Kobieta, od której, kiedy zostanie żoną i matką, wymaga się racjonalnego rozwoju umysłu i pewnych nawet fachowych wiadomości, zanim pójdzie za mąż, nie może i nie powinna kształcić się w tym kierunku pod groźbą klątwy, że ją jako sawantkę i „mądrą pannę“ młodzi ludzie z obawą omijają i od niej odsuwają się będą. Kobiety mogą więc tylko nabywać wykształcenia powierzchownego i bezpożytecznego w przyszłości: „Panny idące za mąż muszą koniecznie zostać literatkami, albo poświęcić się zupełnie muzyce lub innemu talentowi, gdyż zbawienny zwyczaj niemiecki i francuski, żeby córki przypuszczane

były do rządu domu przez rodziców i wyręczały matki w urządzeniach, dyspozycji codziennéj i innych drobnych szczegółach, nadto jest mało w naszym kraju upowszechniony, a panna wychowanie swe skończywszy, zostaje w domu rodzicielskim bez żadnego zatrudnienia.“

Nie uszło jéj uwagi, jak wiele, wbrew swojemu celowi i przeznaczeniu, przyczyniają się do tego zakorzenienia powierzchownego wykształcenia tak nazwane pensye: „Nie chcę tu nawet wzmianki czytać o tych rojach panien wychodzących z licznych pensyi warszawskich; te podług mego mniemania, napelniają domy szlacheckie na prowincyi osobami po większej części zawsze z siebie i z drugich niekontentami, wiejskie gospodarstwo (*sic*) nienawidzącami, i tylko o teatrze lub o Saskim ogrodzie rozprawiającami, które nie nauczywszy się niczego gruntownie, zapominają we dwóch lub trzech latach wszystkiego, co pośpiech rodziców i niedokładny dozór trzymających pensyą nagle i bez porządku w ich młode zaszczepiły umysły.“

W podobnym duchu i podobnej treści, lubo nieco szerszego zakresu, jest drugi artykuł Nakwaskiej, umieszczony w tymże samym „Pamiętniku Warszawskim“ w r. 1820 (t. XVI, str. 238—252) p. t. „Krótki rzut oka na terażniejsze wychowanie Polek przez Polkę.“ Autorka zamierzyła sobie w nim zastanowić się nad zarzutami, które „mężczyźni od niejakiego czasu“ kobietom robią: „nieustannie (powiada) nam jest naganiane nasze wychowanie z powodów: 1) że w niem cudzoziemki przewodniczą; 2) że nad stan, w którym żyć nadal musimy, bywamy wychowane; 3) że nas uczą w obcym języku różnych wiadomości; 4) że lepiej po francusku jak (*sic*) po polsku mówić i pisać umiemy; 5) że ogółem wychowanie nasze wyępiea w nas narodowość i miłość ojczyzny.“

Pierwszemu i drugiemu z tych zarzutów Nakwaska przyznaje słuszność, a zarazem jako środek mający złemu zapobiedz, radzi założenie szkoły nauczycielek prywatnych, która to szkoła „upowszechniłaby wychowanie domowe, które (osobliwie w Polsce) jedynie jest płci naszej właściwe.“ Przez oddanie wychowania w ręce takich domowych nauczycielek spodziewa się ona także usunąć te złe skutki, jakie dla przyszłości młodych panien z ich edukacji na pensyach wypływają. Bardzo niekorzystne wyobrażenie musiała mieć Nakwaska o tych zakładach wychowawczych i bardzo zgubny wpływ na młode umysły im przypisywać, bo i tutaj, jak w poprzednim artykule, tylko w sposób bardziej sarkastyczny, kręśli z życia zdjęty obrazek takiego wychowania. „Powraca (na wieś) z trzyletniej edukacji ulubione dziecko, pełno ma na pozór wiadomości, popisuje się

nieustannie z różnemi talentami, ale za to wszystko ją na wsi nudzi, z niczego nie kontenta, sąsiadki jój nie rozumieją, bo nąwpół po francusku mówi (a i to bardzo mierną francuszczyzną), gra cokolwiek na gitarze, śpiewa francuskie romanse i wnosi do męża (żeniącego się z nią dla znacznego posagu, który najczęściej na procencie się kończy) zbiór złego humoru, kaprysów i wymagań różnych, nie umie się trudnić gospodarstweni, ile na jój majątek przystoi, nie ma dosyć gruntownych wiadomości, ażeby ją prawdziwie literatura zająć mogła, zapomni grać na gitarze, bo nie ma nikogo, któryby jój talenta uwielbiał, i znowu tymże trybem córki swoje prowadzić będzie.“

Jako małe objaśnienie tego obrazka możemy dodać, że Nakwaska kręśląc go miała na myśli szczególnie córki średniej a nawet mniej zamożnej szlachty. Dla panien z téj klasy społeczeństwa edukacja, jaka była w zwyczaju na ówczesnych pensjach, mogła w istocie najszkodliwsze sprowadzać następstwa. Ojciec lub matka, a najczęściej oboje, cieszyli się, że ich córka, jakby jakie dziecko magnackie, u francuskiej „madam“ w Warszawie się edukuje, ale pewnie nieraz gorzko potem odpokutowali, kiedy się skutki takiego wychowania w życiu pokazały. Panna, co się po francusku paplać i na gitarze grać nauczyła, wносиła do domu rodziców a później męża tyśiące kaprysów i pretensyi, jakie tylko krociowa arystokratka mieć by od biędzy mogła. Zbliżając się blichtrzem wychowania do sfer uprzywilejowanych, sądziła, że i w rzeczywistości staje z niemi na równi, i w podobny sposób, jak one, żyć może i powinna. Nakwaska bardzo słusznie położyła nacisk na fałszywe wychowanie tych córek szlacheckich dworów, a nieraz i z pod słomianej strzechy, bo jeśli kto, to one właśnie rozsądniejszej i praktyczniejszej edukacyi potrzebowaly, i dla nich zły kierunek najbardziej mógł być szkodliwy. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie nasza autorka to wychowanie, a ideał jaki sobie o nim utworzyła, trzeba uznać za zgodny z prawdą i odpowiadający potrzebom téj klasy społeczeństwa. „Nie byłaby taka osoba szczęśliwszą (mówi dalej, bezpośrednio po skreśleniu owego obrazu fałszywie edukowanej młodej szlachcianki), żeby wychowana w rodzicielskim domu, uczyła się zawczasu wszystkich szczegółów wiejskiego gospodarstwa, kształcona przez nauczycielkę (jak z poprzedniego wynika, Nakwaska mówi o nauczycielce Polce) moralną ale nie uczoną, nie znała innej muzyki, jak Śpiewów historycznych, innej poezyi, jak Krasickiego i Karpińskiego, a oprócz historyi polskiej, pisania i rachunków, nie miała wyobrażenia o innych wiadomościach? Dosyć dla niej oświaty, jeśli równie wolna od zabobonów jak i od niedowiarstwa, będzie pobożną bez bigoteryi,

rozsądnie dobroczynną i tyle biegłą w sztuce lekarskiej, ile dla matki familii... nieodbitcie bywa potrzebny.

Francuszczyznę zatem i edukacją z cudzoziemskim pokostem chciałaby zupełnie wygnać z domów szlacheckich dlatego, że one to głównie prowadzą do życia nad stan, do śmieszności, a co więcej do ruiny. Dla tych, co na zbytek pozwolić sobie mogą, Nakwaska jest względniejszą — wielcy panowie mogą mówić po francusku, dzieci rodzin arystokratycznych mogą się uczyć języka francuskiego, jako kosmopolitycznego, przyjętego przez cały świat i posiadającego bogatą literaturę, byle jednak przytém mowa ojczysta nie była nigdy zaniedbaną.

Dama z wielkiego świata przebija bezwątpienia w tém ustępie, a raczej w tym przywileju dla klas wyższych. Ani dobrego tonu, ani elegancyi, ani salonowego zachowania się Nakwaska bez francuszczyzny nie pojmowała; była ona dla niej najważniejszym pierwiastkiem cywilizacyi i postępu, i dlatego musiała pierwszego miejsca ustępować nawet narodowości. O polskości nie zbyt ona miała dobre wyobrażenie i narodowy obyczaj w jej oczach był prawie tém samym, co dawny okrzyczany „sarmatyzm.“ Prawdziwy Polak, według jej mniemania, musiał być nieokrzesanym i rubasznym, musiał „głośno kichać“, jak się w jednym ze swych listów wyraża. Kilka lat temu utyskiwała przed siostrą, że będzie mieć z syna pedanta, ona zaś (siostra) ze swojego „małego Faublasa“, dodając przytém z całą naiwną szczerością: „a przyznam się ze wstydem, że wolę Faublasów, i że Henryk (syn) do rozpaczki mię przyprowadza swoją miną pedagoga.“ Później (już w r. 1816) na ten sam temat, tylko dosadniej wyrażając o co jej chodzi, rozwodzi znowu swoje żale: „Henryk nie będzie niczém innym, tylko *Folakiem*, jak powiada p. Verdelet (jego guwerner), *c'est à dire une bête*, ale trzeba się tém pocieszać, że będzie mieć cztery miliony współkolegów. Dostyc łez wylałam nad tém dzieckiem, i nie chcę już dłużej tém się martwić.“

Gdybyśmy nie uwzględnili okoliczności, pośród których sama była wychowaną i błędnych wyobrażeń, jakie miała o narodowości, trzebaby doprawdy albo zapłakać, albo głośno się rozśmiać z tych żalów matki Polki, że syn jej rośnie „tylko“ na Polaka!

Przez parę lat ostatnich pojęcia jej pod tym względem znacznie się sprostowały, wyobrażenia ogólne zmieniły się także o wiele na lepsze; urok francuszczyzny, podniesiony tak wysoko ostatniemi czasy przez Napoleona i nadzwyczajną chwałę Francyi, zbladł zdaje się zarówno z gwiazdą „wielkiego narodu“, a słabe poddmuchy romantyczności, mającej sprawić przewrót w wyobrażeniach literackich i estetycznych, dawały się już uczuwać. Zmianę tę widać rów-

nież w dwóch pedagogicznych artykułach Nakwaskiej, o których tu właśnie mówimy, ale że nie mogła ona być zupełną i radykalną, że wiele z zakorzenionych w młodości pojęć musiało zostać w głowie naszej autorki nie tylko w tym czasie około 1820 r., ale i przez całe życie, tego, kto zna choć trochę naturę ludzką, łatwo się domyśli. Zresztą dlaczegożbyśmy się dziwili tej kobiecie wyrosłej w epoce najwyższej wybujałości francuszczyzny, jeżeli dzisiaj, po pięćdziesięciu latach postępu i różnych nauk, które nie powinny były zostać bez wpływu i skutków, téż same pojęcia i ten sam brak poczucia swojskości w niektórych sferach w najlepsze kwitną!....

Zgodnie z takim zapatrywaniem się na rzeczy, Nakwaska odpiera stanowczo ostatni z zarzutów czynionych Polkom, że wychowanie cudzoziemskie wytepia w nich narodowość i miłość ojczyzny. „Jeżeli pod wyrazem narodowości (pisze w końcu swojego artykułu) miłość ojczyzny ma się rozumieć, Polki nie przestając wpajać téj cnoty w młode umysły potomków tego pokolenia, które do jéj oswobodzenia tak dzielnie się przyłożyło, dają najpewniejsze dowody, że ta cnota nigdy z ich serc wygluzowaną nie była. Jeżeli zaś do tego słowa przywiążemy szanowanie dawnych nałogów i przesądów narodowych, zaturę onego nie Polkom ale szerzącej się oświacie, napływowi cudzoziemców i licznym podróżom współrodaków naszych przypisać należy.“

Trzeba przyklasnąć i z uszanowaniem czoła pochylić przed gorącym sercem, z którego te słowa wypłynęły, przed tém świętem oburzeniem, z jakim Nakwaska ciężki zarzut uczyniony jéj spółrodaczkom odpiera. Ale z drugiej strony trudno się oprzeć żalowi, że tak fałszywie i powierzchownie patrzyła się na rzecz godną najgłębszego zastanowienia. Miłości ojczyzny i narodowości czyni się według niéj zadosyć, jeżeli się wpaja w młode umysły uczucie honoru i odwagę wojskową, które w pewnych wyjątkowych chwilach mogą przynieść chwałę narodowi, bo nie zawsze, jak przykłady uczą, pożytek, — ale o tém ona nic nie wie, ile ta narodowość traci codziennie, na każdym kroku, jeśli ci, co wszystkie oznaki, pamiątki i objawy, szanować i utrzymywać powinni, odrzucają je ze wzgardą i lekceważeniem jako nierozsądne, niepotrzebne i śmieszne, widząc w nich tylko „dawne nałogi i przesady“, godne jedynie, aby je szanował i przechowywał gmin i pospólstwo, nie zaś ci, co się wybranymi nazywają. Jest-to patryotyzm *sui generis*, którym zawsze osłaniał się i osłaniają ci, co w cudzoziemskim wychowaniu i sposobie życia prawdziwe poczucie narodowości zatracili.

Dwa powyższe artykuły są jedynemi pedagogicznemi pracami Nakwaskiej. Pomimo że oryginalną twórczość od téj gałęzi rozpo-

częła, nie było jej przeznaczeniem iść drogą, którą równocześnie z nią poszła Klementyna Tańska. Dopiero przy końcu znowu kariery literackiej powraca w jej pismach myśl pedagogiczna, ale tylko jako tendencya, nie zaś jako teoretyczne obrobienie kwestyi. O jej działaniu na tém polu wiemy zresztą to tylko, że należała do rady dozorczej nad wychowaniem kobiecóm, jakie w każdym mieście departamentowém Izba Edukacyjna r. 1808 utworzyła. Kiedy jednak została taką „eforką“, tego dokładnie oznaczyć nie umiemy. W każdym razie, jej pedagogiczne rozprawy i ta honorowa godność muszą być w pewnym związku z sobą, i albo Nakwaska została mianowana eforką, zwróciwszy poprzednio na siebie uwagę temi artykułami, albo téż, co prawdopodobniejsza, rozprawy te były wynikiem jej bliższego zapoznania się z wykształceniem kobiecóm i z zakładami wychowawczemi wskutek obowiązku, jaki na siebie w radzie dozorczej przyjęła.

(D. n.)

Adam Belcikowski.





ANNA Z KRAJEWSKICH NAKWASKA.

II.

W r. 1821 wyszły w Warszawie pierwsze powieści Nakwaskiej w dwóch tomach po francusku napisane p. t. „*Trois nouvelles publiées par une Polonaise*“ i tom drugi p. t. „*Suite des trois nouvelles publiées par une Polonaise.*“ Odtąd głównie jako powieściopisarka miała ona zająć miejsce w naszej literaturze.

Romansopisarstwo było u nas w owych czasach nader jeszcze ubogie. Z dawniejszych nieco czasów posiadaliśmy satyryczno-dydaktyczne utwory Krasickiego, tudzież polityczne broszury w formie romansów Jezierskiego i Krajewskiego. W ostatnich latach przybyła do tego „Malwina“ (1816), powitana jako pierwszy właściwy romans polski, bo jej przedmiotem była tylko historia dwóch kochających się serc, a bezpośrednio przed Nakwaską w r. 1820 wystąpił późniejszy autor „Pojaty“, Bernatowicz ze swoją również sentymentalną powieścią: „Nierozsądne śluby“, która podobnie jak „Malwina“ z zapalem przez publiczność została przyjęta. Pierwszy, bujniejszy nieco rozkwit powieściopisarstwa naszego, mianowicie w rodzaju historycznym, w którym wcale zaszczytnie zapisały się imiona Niemcewicza, Bernatowicza, Bronikowskiego, Skarbka i Wężyka, przypada dopiero w kilka lat później, mianowicie głównie na czas między 1824 a 1830 rokiem.

Nakwaskiej pierwszy pochop do pisania powieści dała bezwątpienia „Malwina“. Książka ta, takiem powodzeniem uwieńczona a napisana przez kobiety, dała jej zapewne przykład i ośmieliła ją do zużycowania swych umysłowych zdolności na tém polu. Tém godniejszą uwagi jest rzeczą, że Nakwaska nie stała się naśladowczynią swojego

wzoru, i że zaraz w pierwszych swoich powieściach poszła odmiennym i pewne cechy oryginalności mającym torem. Z sześciu powieści składających dwa tomy tych „Nouvelles“, trzy są na tle dawniejszej przeszłości osnute, trzy zaś wzięte z czasów współczesnych i, chociaż autorka nie o wszystkich to wyraźnie powiada, bezwątpienia wszystkie z rzeczywistych wydarzeń. Już sama ta okoliczność daje nam do poznania, że w twórczości Nakwaskiej znajdziemy pewien rys realny i skłonność do opierania się na rzeczywistości, czy to historycznej, czy też własnym doświadczeniem obserwowanej. Również możemy i to także jako pewną jej zasługę i cechę charakterystyczną podnieść, że ona pierwsza, chociaż w szczupłych rozmiarach tworzyła historyczne powieści. W literaturze własnej nie miała do tego żadnego przykładu; jak wspomnieliśmy wyżej, początkowi twórcy tego rodzaju powieści a naśladowcy Walter-Scotta zjawili się dopiero nieco później. Tylko francuskie romanse historyczne a następnie i Walter-Scott, znany przez nią w przekładach francuskich, mogły na nią w tym kierunku działać.

Pierwsza z tych historycznych powieści ma tytuł: „Odkrycie wód mineralnych w Krynicy albo August i Halina.“ Rzecz dzieje się w pierwszych latach panowania Zygmunta Augusta. Bohater powieści młody August jest synem dumnego magnata Sowińskiego osiadłego na starożytnym zamku Nowajowa niedaleko Nowego Sącza, Halina zaś córką starosty Grybowskiego, który w chwili, kiedy powieść się zaczyna, ukrywa się nikomu nieznanym w lasach Karpackich przed prześladowaniem (?) królowy Bony, nienawidzącej go jako stronnika i przyjaciela Barbary Radziwiłłówny. August poznaje Halinę w stroju wieśniaczki i jest tego mniemania, że ona należy do stanu, którego suknię przywdziała. Mimo to zajął się żywo piękną dziewczyną, która nawzajem prawdziwą i gorącą miłość dla niego powzięła. Ale młody panek, na którego nauki i przykład jego ojca także działały, nie miał szlachetnych dla Haliny zamiarów; przestał się z nią widywać, zapomniał o niej, i niedługo zaczął się starać o rękę bogatej dziedziczki z sąsiedniego Szymborka. W tém nastąpiła nagle zmiana sytuacji. Królowa Bona wyjechała z Polski, Zygmunt August powołał starego ojca Haliny do swego boku i przez wdzięczność za jego poświęcenie się dla Barbary mianował go kanclerzem Litewskim. August Sowiński poznawszy prawdziwy stan swjej kochanki, nawraca się do niej co prędzej i ofiaruje jej rękę. Ale za późno i napróżno. Halina odmawia jego prośbie, i czując, że drugi raz w życiu nie pokocha już nikogo, wstępuje do klasztoru.

Z tą historią nieszczęśliwej miłości Haliny połączona jest także ściśle powieść, być może iż oparta na jakiejś miejscowej legendzie,

o odkryciu leczniczych źródeł Krynicy. Ojciec Haliny był bowiem pierwszym, który na zbawiennych skutkach tej wody się poznał, i dla niego to nosiła ją Halina ze źródła, i w dzikiej ustroni podtrzymywała nią zwałtałe jego zdrowie, a potem gdy pewnego razu i August w niebezpieczną wpadł chorobę, tą kryniczną wodą, którą przynosiła mu do zamku, od niechybnej śmierci go ocaliła. On jednak niewdzięczny, jak wiemy, w dumie swojej i o tém zapomniał, że wienien jój był życie.

Na podaniu zawartém w jakiejś starój książce, którą znalazła między papierami familijnemi, oparła Nakwaska drugą z tych powieści historycznych: „Evrard de Felkersamb albo rycerz Zakonu Niemieckiego, fragment ze starój kroniki.“ Czy w istocie takie podanie znalazła w jakim starem *Silva rerum*, czy téż jest ono jój wymysłem, tego nie wiemy; z powieści samój dowiadujemy się jednak, że ta legenda odnosi się do pierwszych przodków tych rodzin polskich, które herbem Prus się pieczętowały, a do których także i rodzina Nakwaskich należała (1).

Tymi protoplastami Prusów mieli być ów bohater powieści Evrard de Felkersamb i jego przyjaciel Otton de Rotenstein, obaj rycerze zakonu Niemieckiego. Jakim sposobem się to stało, że ci dwaj Krzyżacy przenieśli się do Polski i byli założycielami polskich rodów, to właśnie stanowi treść niniejszej powieści.

Rzecz dzieje się w końcu XIV wieku, w czasie kiedy Jadwiga wstępuje na tron a potem rękę oddaje Jagielle. Dwudziestopięcioletni rycerz Evrard, poważnego i surowego usposobienia, dla którego kochanką była dotąd jedynie jego włócznia, spostrzega w Marienburgu w czasie pewnej kościelnej uroczystości piękną dziewczę, której nazwisko i stan dla wszystkich są nie znane. Niedługo potem toż samo uroczko zjawisko pojawia mu się w chacie wieśniaczej poza miastem, co jeszcze bardziej gmatwa jego wyobrażenia o pięknej nieznanym, której rysy od pierwszego widoku głęboko w jego sercu utkwiły. Rok cały upłynął, Evrard choć pozbawiony wszelkiej nadziei, pozostał wierny swemu ideałowi. Nareszcie po roku, przy podobnej uroczystości kościelnej zobaczył znowu swoją nieznaną i poznał osłaniającą ją dotąd tajemnicę. Piękna dziewczica była córką bogatjej dziedziczki Maryi de Schönau, która niegdyś gdy mąż jój Rudolf wybierał się na srogą wojnę z Litwinami, ażeby ubłagać u Boga szczęśliwy jego powrót, uczyniła ślub, że przez szesnaście lat

(1) Może jedyném jój źródłem historycznym było kilkanaście słów Długosza powtórzonych w Herbarzu Paprockiego: „Prutenorum antiquorum genus ex tribus principibus, qui in Polonia ex Prussia facinore commisso fugientes propagaverunt.“

nie będzie widziała swojej córki i zdaleka od siebie w chacie wieśniaczej chować ją będzie. Szesnaście lat upłynęło teraz właśnie i biedna matka mogła już wziąć swoją Annę do rodzinnego zamku. Pomimo jej poświęcenia jednak mąż nie wrócił z owej wyprawy. Żaden z towarzyszy nie umiał powiedzieć, co się z nim stało, nikt nie wiedział, żeby zginął, ale nikt także, gdzieby się mógł obracać. Zapewne żył jeszcze gdzieś, i mógł być powrócony stroskanęj żonie i córce. Evrard, który zaproszony razem z wielkim mistrzem i swym przyjacielem Ottonem na zamek pani z Schönau, słyszał to opowiadanie, postanowił odszukać straconego jej męża w nadziei, że jeśli poświęci się dla matki, będzie to najpewniejsza droga do serca pięknej Anny. Za dwa lata przyrzekł im powrócić z Rudolfem albo nie wrócić wcale. Na odjeźdném, na pamiątkę i zadatek wdzięczności otrzymał od Anny wrzeczono z drzewa cedrowego oprawne w złoto, które niegdyś Rudolf ofiarował był swojej żonie.

Jak prawdziwy rycerz błędny, udał się Evrard na Litwę. Nim dotarł do Wilna, w głębi pewnego święconego gaju zobaczył opustoszałą wieżę, która niezwykłą swą powierzchownością zwróciła jego uwagę na siebie. Stary jeden Litwin objaśnił go, że było to niegdyś mieszkanie księżniczki Zimmy, krewnej w. księcia Jagielly, która tu wśród lasów, jak Amazonka lub mitologiczna Diana, przepędzała czas na ściganiu dzikiego zwierza. W wnętrzu tajemniczej wieży przerażający widok uderzył jego oczy; u stóp ołtarza leżał trup okryty szczątkami bogatego stroju, a dokoła niego roily się kłęby węzów. Ze zgrozą opuścił to miejsce uniosłszy z niego perłowy naramiennik, który tam leżał na ziemi wraz z wielu innymi kosztownościami i złotem ozdobami. Poszukiwania jego na Litwie były nadaremne pomimo pomocy udzielonej mu przez Jagiellę, razem więc z tym księciem wybrał się smutny i zrozpaczony do Krakowa, dokąd Jagiello właśnie jechał na swój ślub z Jadwigą. Evrard przytomny był wspinałym uroczystościom zaślubin i koronacyi nowego króla, w czasie czego niespodziewanie spotkał w Krakowie i swojego przyjaciela Ottona, który choć w Marienburgu wdychał do pięknej Anny, tutaj czuł się znów oczarowany wdziękami nadobnych Polek. Po skończeniu uroczystości razem z księciem Mazowieckim Ziemowitem, który podobnie jak Evrard nie otrzymawszy upragnionej ręki Jadwigi, ciężką miał ranę na sercu, a z którym nasz rycerz w Krakowie się poznał i przez podobieństwo usposobienia i losów prędko zaprzyjaźnił, wybrał się w drogę z powrotem, nie wiedząc, jak w Marienburgu spojrzy w oczy Annie i jej matce, skoro danego im przyrzeczenia nie dotrzymał i bez Rudolfa powraca. Już niedaleko Płocka. siedzi-by Ziemowita, nagle burza zmusiła naszych podróżnych zatrzymać

się na noc w klasztorze Czerwińskim. Evrard dostał nocleg w celi jednego z zakonników i gdy zdejmując suknie podróżne i zbroję, wyjął z zanadru cedrowe wrzeciono Anny i naramiennik znaleziony w wieży Zimmy, zakonnik spostrzegłszy te przedmioty z krzykiem i wzruszeniem wielkiem zapytał go, skąd przyszedł do ich posiadania. Evrard objaśnił go i nawzajem wkrótce się dowiedział, że ten mnich jest właśnie szukanym przez niego Rudolfem. Nie zginął on na wojnie ani nie dostał się do niewoli, lecz na Litwie zatrzymały go wdzięki owéj leśnej amazonki, księżniczki Zimmy. Dla niej zapomniiał o żonie i zaślepiony namiętnością, którą dzika piękność i wyrachowany opór Litwinki w nim do szaleństwa podniecały, odprysnął się nawet wiary swych ojców. Straszne dopiero i cudowne wydarzenie wybawiły go z jéj rąk. Gdy Zimma zamierzała właśnie przed ołtarzem na swojej wieży krwawą ofiarę z niewinnego dziecka złożyć pogańskiemu bóstwu, zerwała się okropna burza, padł piorun, zdruzgotał bałwana i zniszczył kamienne schody dokoła niego, z pod których w jednéj chwili niezliczone mnóstwo żmij i węzów rzuciło się na Zimmę. Od ich ukąszeń zginęła dzika księżniczka, Rudolf uciekł z tego miejsca szczęśliwie i pokutując za swoje grzechy i błędy, wstąpił do klasztoru, w którym go teraz Evrard znalazł. Nakłoniony przez Evrarda do powrotu do żony i uwolniony przez przełożonego od ślubów, ruszył niebawem w drogę z uszczęśliwionym tym wypadkiem rycerzem.

Ale nie tu jeszcze koniec historii. Stary wielki-mistrz, pod którego opieką były pani z Schönau i jéj córka, umarł, a następca jego zapłonął ogniem nieprawéj miłości do pięknej jeszcze matki. Napotkawszy z jéj strony na opór i pogardę, uwięził obie kobiety w podziemiach Marienburskiego zamku. O tém wszystkiém dowiedzieli się nasi podróżni od Ottona, który jeszcze przed bramami Marienburga ich spotkał. On także podał im plan, jakby nieszczęśliwe niewolnice z więzienia uwolnić, plan wywołujący bezwątpienia w powieści wielce melodramatyczny efekt a polegający na tém, że Otton udął chorobę, potem śmierć, i jako nieboszczyk dał się zanieść w trumnie do katakumby sąsiadującej z więzieniem Anny i jéj matki. Z jakąż grozą i przestachem zobaczyły biedne kobiety, które tylko kratą od grobowca były przedzielone, że rycerz, którego pochowano, nagle blady ze zmęczenia i wzruszeń z trumny się podnosi. Przestach nie trwał jednak długo. Otton wytłómaczył im o co chodzi, przepiłował kratę i uprowadził je szczęśliwie na miejsce, gdzie ich czekali Evrard i Rudolf. Aby zejść zemsty wielkiego-mistrza, musieli wszyscy opuścić kraj jego władzy podległy i przenieśli się na Mazowsze, gdzie ksiązę Ziemowit z otwartemi ramionami ich przyjął.

Skoro i Otto ożenił się tutaj niedługo z piękną jakąś Mazurką, powstały dwie nowe rodziny polskie, które na pamiątkę swego pochodzenia przybrały przezwisko Prusów.

Treści, nadzwyczajnych wydarzeń, pewnego zaciekawiającego powikłania i rozmaitości, jak widzimy, podstatkiem jest w tej powieści. Nakwaska, podając to wszystko czytelnikowi w zwiezłym opowiadaniu, bez udratyzowania rzeczy, bez plastycznego przedstawienia, bez dyalogów, charakteryzujących osoby i malujących nawet drobniejsze szczegóły wydarzeń, w sześćdziesięciu kartkach całą powieść zamknęła. Dzisiejszy jaki romansopisarz, zwłaszcza z bujniejszą od Nakwaskiej fantazyą i z większą znajomością przeszłości, niż ona ją mieć mogła, z tegoż samego materiału byłby w stanie bez wielkiej trudności kilka sporych tomów napisać. Rzecz sama w zdolnych rękach na tém wykończeniu i rozszerzeniu ram niewątpliwieby nie mało zyskała, podczas gdy z pod pióra Nakwaskiej wychodzi dosyć blade, bez silniejszego kolorytu i bez wzruszających efektów. Na pochwałę jęj można jednak powiedzieć, że oprócz dość ruchliwej wyobraźni, znajdujemy w jęj powieści kilka udatnych obrazków z natury (jak np. opis Krakowa) i pewne usiłowania do nadania postaciom rysów charakterystycznych. Choć słabo i szkicowo pokazuje się to szczególnie na figurach Ewarda i Ottona, z których pierwszy miał być wzorem niezłomnego i wiernego zawsze swemu ideałowi kochanka, a drugi poczciwym w gruncie, ale i roztrzepanym lekkoduchem, zapalającym się od każdego niewieściego spojrzenia, jakoteż na postaci Zimmy, która w istocie ma coś w sobie, co przypomina owe straszne piękności, kruszące u swoich stóp cnotę i szlachetność męską.

„Elżbieta Kazanowska“ jest trzecim wreszcie z tych historycznych opowiadań i składa się właściwie z dwóch powieści wsuniętych jedna w drugą. Młoda hrabina Opalińska niedługo po swém zamążpójściu przenosi się z mężem do Warszawy, staje się tam celem zabiegów króla Stanisława Augusta, i dochodzi do tej krytycznej chwili, gdzie słabość jęj ma już uleźć gorącym zapałom ukoronowanego wielbiciela. Wtedy przypomina sobie, że matka jęj na podarek ślubny dała jęj jakiś stary rękopis, który przez kilka pokoleń przechodził w rodzinie z rąk do rąk, z tém upomnieniem, ażeby otworzyła go, kiedy znajdzie się w położeniu trudnym i wątpliwym, a zaczerpnie z niego dla siebie naukę i przestrożę. Rękopis ów zawierał w sobie historią znaną z dziejów Elżbiety Kazanowskiej, późniejszej żony Hieronima Radziejowskiego, i opowiadał, jak Elżbieta przez to, że pokochała króla, ściągnęła na siebie wielkie nieszczęścia, a na kraj cały straszną wojnę. Morał, jaki młoda Opalińska wyciągnęła

sobie z tój historyi, ubarwionój w opowiadaniu Nakwaskiej różnemi romantycznemi wydarzeniami i sentymentalnemi uczuciami, podział na nią skutecznie i zbawiennie; usunęła się od dworu z Warszawy i w ciszy wiejskiej, przy boku męża znalazła spokój i to zadowolnienie, że zwyciężyła w sobie niebezpieczną namiętność.

Romans Jana Kazimierza z Radziejowską wygląda w tój powieści rzeczywiście idealniej, niż był nim naprawdę, a sentymentalno-rycerskie i podniosłe uczucia odgrywają w nim najważniejszą rolę. Pomimo to, tak w tój, jak w innych powieściach Nakwaskiej nie mamy wcale tego nadmiaru sentymentalności, jaki był wówczas w modzie i w zagranicznej literaturze i w naszej np. w Malwinie silnie wystąpił. Wzdychających bez końca kochanków i powierzających księżycowi swoje żale kochanek Nakwaska nie ma wcale. Zbliża się ona przez to do natury i prawdy, patrzy na świat trzeźwo, a czasem chłodno, tak, że nawet i pesymistyczne albo ujemne więcej rysy nie są obce jój pióru. Taki August Sowiński z pierwszej powieści jest najzupełniejszym kontrastem ulubionego wówczas romansego bohatera: nie kocha on naprawdę dziewczyny, która mu się podoba, bez żadnego względu poświęca ją dla rachuby i stanowiska i gotów powrócić do niej, skoro w niej poznał bogatą dziedziczkę. Otto Rotenstein znowu to także całkiem zwykły charakter, nie bawiący się w górnolotne sentymta; choć ma lepsze serce od Augusta, ale płocze i zmienne, szukające co chwila świeżych dla siebie przedmiotów.

Takich rysów prawdziwych w charakterach i w poglądach na życie społeczne znajdziemy, jak z natury rzeczy wynika, jeszcze więcej w powieściach ze współczesnej epoki i z rzeczywistych wydarzeń przez Nakwaską branych. Co więcej, można powiedzieć, że znajdziemy postacie całe, którym brak tylko dostatecznego wykończenia i pogłębienia, ażeby urosły do wysokości typów. Wcale dobrym szkicem takiej postaci jest np. pan Gatignac w powiastce „Żyd Abraham albo jeden dzień z podróży pana Gatignaca.“ Jest-to dawny kapitan gwardyi Ludwika XVI, „*bel esprit*“ przytém i emigrant, jeden z tych emigrantów, jakich skoro mogła Nakwaska widzieć w Warszawie za czasów pruskich i z jakich zapewne i tę postać skopiowała. Patrząc na wszystko powierzchownie, jak lekkomyślny Francuz, a przytém zarozumiały ze swój narodowości i wysokiej cywilizacji, wszystkie inne narody uznawał za dzikich barbarzyńców, i z pojedynczych wypadków wysnuwał ogólne a zawsze dla nich niekorzystne poglądy i wnioski. Wracając z Rosyi do ojczyzny w r. 1816 w przejeździe przez Polskę zajechał pewnego razu do domu pana Mileskiego. Jakże się zdziwił i zgorszył, gdy w czasie

obiadu wszedł niespodzianie do sali stary żyd, z długą, strzępiastą brodą, w zużytych sukniach i pozdrowiwszy poufale obecnych, zasiadł przy stojącym obok stoliku, na który mu wszystkie potrawy z obiadu kolejno podawano. Pan Gatignac nie mógł zrozumieć, dlaczego się to dzieje, lecz mimo to, ponieważ na nieszczęście zwykły był swoje spostrzeżenia nad ludźmi i krajami zapisywać, ażeby potem niemi swoich ziomeków o stanie barbarzyńskich narodów oświecać, nie omieszkał i tym razem zapisać w swoim pamiętniku, że „w tym kraju tak pełno jest żydów, że obywatele muszą ich do swego stołu przyjmować.“ Gospodarz wytłómaczył mu, dlaczego się tak dzieje, że ten stary żyd Abraham, gdy Mileski był biedny i w ostatecznej potrzebie, dopomógł mu radą i czynem; że z dalekiej Litwy, gdy bez grosza i chory powracał do majątku ojczystego, który krewni, jako schedę po zaginionym gdzieś bez śladu nieboszczyku, mieli nadzieję między siebie rozgrabić, na własnym wózku przywiózł go do rodzinnego domu, i potem w nagrodę swoich usług nic nie chciał przyjąć i nic nie żądał, tylko tego, ażeby z nim żył zawsze tak po przyjacielsku, jak podczas tej podróży, którą razem odbywali. Pan Gatignac wysłuchał tego wszystkiego, przyznał, że to historia bardzo ciekawa, ale zarazem oświadczył, że jego uwaga o mnogości żydów i dziwnym obyczaju polskim, ponieważ ją już raz napisał, w jego pamiętniku pozostanie. . . .

Albo ten sympatyczny żyd Abraham, poświęcający się, bezinteresowny, pragnący tylko moralnej nagrody w przyjacielskim postępowaniu człowieka z wyższej klasy, która widać była potrzebą dla jego szlachetnego umysłu, czyż to nie oryginalny i świeży bardzo na owe czasy pomysł, może po raz pierwszy pod piórem Nawkaskiej w naszej literaturze się pojawiający? Wreszcie i sam pan Mileski, po śmierci ojca zawieszony przez matkę, Francuskę z rodu, kiedy powtórnie poszła za męża za generała rosyjskiego, w dalekie strony Rosyi, pozbawiony prawie majątku, który równocześnie przeszedł pod panowanie pruskie, oddany do wojska i z pułkiem swoim posyłany raz w stepy Orenburskie, to znów na Kaukaz, to także wierna podobizna częstych oryginałów w tych czasach katastrof politycznych i nieszczęść ogólnych, które rzucały ludźmi na drugie krańce świata i z majątnych obywateli robiły nędzarzy bez kawałka chleba.

W tej samej epoce, na tle wojen napoleońskich w Hiszpanii i w Rosyi, rozgrywa się także rzecz powiastki: „Isaurina i Kazimiera.“ Walka dwóch serc kobiecych o miłość mężczyzny jest tu jednak głównym tematem. Oba te serca poświęcają się dla młodego oficera Tadeusza, każde na swój sposób. Hiszpanka Isaurina, dziecko

natury, jak większa część jój rodaczek, namiętna i kochająca do szału, uwalnia go od pewnej śmierci, gdy jako jeniec wojenny wpadł w ręce Hiszpanów, wyrzekając się całej rodziny, idzie za niego, bez żalu porzuca z nim swą ojczyznę i w obce przenosi się strony, towarzyszy mu na straszną i srogą wojnę w Rosyi, narażając się na głód, mrozy i śmierć każdej chwili, cierpi przy tém wszystkiém potajemnie, widząc, że nad sercem ukochanego nie zdoła samowładnie zapanować z braku tych przymiotów, które daje staranne wychowanie i właściwa kobietom delikatność uczuć, i umiera wreszcie zgnębiona moralnemi i fizycznymi cierpieniami. Jój rywalka, Polka, Kazimiera, przy której w końcu zostaje zwycięstwo, bo po śmierci Isauriny poślubia Tadeusza, walczy z nią szlachetną jedynie bronią, bo większém może jeszcze cichem poświęceniem. Zapomina urazy do Tadeusza, który będąc wprzód jój narzeczonym, wprowadzie wskutek nieporozumienia spowodowanego przez trzecie osoby, żeni się mimo to z Hiszpanką, staje się najlepszą przyjaciółką jego i jój żony, opiekuje się nią na każdym kroku, uzupełnia jój wykształcenie i rozwija jój talenta, ażeby mogła stanąć na równi z innymi kobietami tego stanu, do którego jój mąż należał i przez to więcej jego serce sobie zjednała, czuwa nad nią i nad jój małym dzieckiem przez wysłanych ludzi w czasie tej strasnej kampanii, na którą się Isaurina niebacznie rzuciła, i przez te starania ratuje w istocie od śmierci. Wszystko to czyni, żywiąc ciągle w duszy równą miłość do Tadeusza, bez nadziei, ażeby kiedyś mogła do niego należeć, i owszem robiąc zawsze tak, aby go jak najsilniej do żony przykuć i oboje dla siebie jak najdłużej utrzymać.

Charakterystyczną to jest rzeczą dla talentu Nakwaskiej i dla jój sposobu patrzenia na świat, że z tego przedmiotu tak wielkich poświęceń nie zrobiła bynajmniej bohatera będącego zbiorem wszelkich doskonałości. Tadeusz jest dobrym i walecznym żołnierzem— to jego najlepszy a może i jedyne przymiot. Zresztą to, o co w tym człowieku obu kobietom najwięcej chodziło, dlaczego się poświęcały z duszą i ciałem, jego serce jedném słowem, nie było ani lepsze, ani gorsze od ogółu serc ówczesnych zalotnych, a przytém wcale chłodno na miłość zapatrujących się młodzieńców. „Tadeusz Dareski (powiada autorka) na miłość, związki małżeńskie i zjednoczenie się serc zapatrywał się, jak największa część młodych ludzi dziewiętnastego wieku. Pierwszą uważał za rozrywkę zdolną wypełnić wolne chwile żołnierza, który nie powinienby nigdy doznawać ani zawodu, ani odmowy; sądził, że człowiek dobrze urodzony winien był to swojemu nazwisku i swój rodzinie, ażeby połączyć swój los z losem kobiety, której stan, urodzenie i posag przyczyniałyby się do pod-

niesienia jego stanowiska w świecie i majątku; co się tyczy zjednoczenia serc, w to nie wierzył, a słowa: uczucie, wierność, albo stałość były dla niego wyrażeniami bez znaczenia i pożytku.“ Lekko-myślnie porzuciwszy dawną narzeczoną, bez głębszego przekonania i istotnej miłości poślubiwszy drugą kobietę, człowiek ten skazał obie na bolesne przejścia i rozliczne cierpienia, lgnąc więcej raz do jednej, drugi raz do drugiej, i sam przytém nic głębiej nie czując, zachowując się wobec ich cierpień prawie biernie i apatycznie. Historye takie i w podobny sposób często się powtarzają; zasługą jest powieściopisarza, jeżeli z rzeczywistości zdoła pochwycić prawdę.

Innym znowu typem tój samój epoki i z tych, któreśmy dotychczas poznali, najlepiej przez autorkę wykończonym jest bohater ostatniej już z tego zbioru powieści p. t. „Stanisław albo dziwak poprawiony.“ Potomek możnej rodziny Orańskich wychował on się w tych nieszczęśliwych czasach, kiedy po upadku kraju „utraciwszy nadzieję pojawienia się znowu kiedy na wielkiej widowni świata, znakomite i bogate rodziny myślały tylko o tém, ażeby dzieci swoje przygotować do zajęcia świetnego w towarzystwie stanowiska; wtedy to przyjęto powszechnie naukę obcych języków za podstawę powierzchownego i błyszczącego na pozór wychowania; wtedy to ujrzano te roje młodych lekkoduchów bez zajęcia wypełniających Warszawę swoim próżniactwem i zbytkami.“ Zgodnie z duchem czasu i panującym zwyczajem i naszego bohatera „prawie od urodzenia otoczono zagranicznymi nauczycielami; mówił on kilkoma językami, tylko swój własny był mu prawie nieznan; zawsze odkładano u niego naukę języka polskiego aż do czasu, kiedy już nabędzie doskonałej wymowy w innych językach, których się uczył.“ Młody Stanisław, u którego ten kierunek wykształcenia popierała szczególnie matka, ślepa niewolnica mody i zwyczajów wielkiego świata, sądził też, „że dosyć umieć po polsku, jeżeli w tym języku zdolnym jest ułożyć kilka słów, ażeby ojca prosić o pieniądze na swoje małe przyjemności.“ Dla dokończenia tój edukacji, mającój mu zapewnić świetne stanowisko w świecie, wysłano go na uniwersytet za granicę, a że to były właśnie tak zwane „pruskie czasy“ i niemczyzna wszędzie była górą, wybrano na to uniwersytet w Jenie. Po paru latach pobytu powrócił Stanisław do oczekujących tego dnia z upragnieniem rodziców, ale nie takim, jakim go powitać pragnęli ojciec albo matka—nie Polakiem i nie zfrancuziałym trochę paniczem, tylko szorstkim i rubasznym burszem niemieckim, który w knajpie między kolegami zapominał o ojczyźnie i nauczył się pogardy dla wszystkiego, co mu ją przypominało. Już sam jego dziwny i przesadny burszowski kostyum raził oczy jego rodziców; gorzej

jeszcze zostało dotknięte ich serce, gdy na ich gorące uściski odpowiedział sztywném i chłodném powitaniem, jakby dla zadosyć uczynienia jedynie formalności. Rozmowa przy suto zastawionym stole szła leniwo i ociężale, choć ze Stanisławem siedzieli utęsknieni rodzice i między innymi na ten uroczysty dzień zaproszonymi gośćmi, także młodziutka, śliczna Łucya, przeznaczona mu przez nich, choć dotąd jeszcze nie głośno, za przyszłą żonę. Uczucia rodzinne i narodowe w nim wystygły, umysł zrobił się ciężkim i pedanckim, a serce nie zdolne zabić żywiej na widok choćby takich wdzięków. „Zapalony wielbiciel Kanta i jego nauki, znajdował przyjemność tylko w towarzystwie takich, którzy, jak on, mogli prowadzić dysputy na ten temat. Jakiś wstręt i szczególna obawa przed kobietami z klasy nieco wyższej, zupełna pogarda dla przedmiotów, które stanowiły ich rozmowę, nadawały tym kilku słowom, które widział się zmuszonym do nich czasem zwrócić, jakiś pozór zakłopotania, lekceważenia lub wyższości.“ Dystygowane towarzystwo kobiece dla niego było za nudne i za wiele kosztujące przymusu — milczący i w złym humorze siedział tam, gdzie mu powinno było być tak dobrze i wesoło. Nie dziw, że rodzice widząc to, posmutnieli, a Łucya zaczęła patrzeć na niego jak na raroga. Nakoniec tego przymusu było mu za wiele. Z zimną krwią wyjął z poza buta swoją fajkę, zapalił ją, i zbliżając się po raz pierwszy do młodej panienki, krzykliwym głosem, bo zniecierpliwiony, odezwał się do niej, czy nie ma jakiego kuzyna lub znajomego, z którym mógłby się bić, bo już całe ośm dni się nie bił, a przywiózł z sobą znakomite rapiry. Na taką apostrofę, Łucya przełękła się, rzuciła robótkę i mówiąc do siebie: Ależ on szalony, ten kochany kuzynek, — wybiegła za matką i w téj chwili z nią odjechała.

Podobne sceny częścię i przy innych gościach się powtarzały, tak, że wkrótce przyjęła się w całej okolicy nazwa, którą pierwsza Łucya Stanisławowi nadała: niemiecki filozof. Ale on z tego nic sobie nie robił, owszem, jakby szukał sposobności imponowania ludziom swoją wyższością i drażnienia ich arogancyą. „Z lekceważeniem mówił o rolnictwie, praktykowaném w Polsce przed najpierwszym agronomem z całej okolicy; z pogardą o teatrze warszawskim, którego nigdy nie widział, przed paniami, unoszącemi się nad nim bez końca; a kiedy nakoniec zaczął cytować Kanta, Fichtego i Jacobiego, jako największych ludzi, których ten wiek wydał“, to tego było już za wiele sąsiadom jego ojca, którzy nie znali w tym czasie większych ludzi nad wojowników walczących właśnie z Napoleonem w Egipcie, i dla samego ojca Stanisława, „któremu duma narodowa

nie pozwalała żadnego wielkiego człowieka stawiać wyżej nad nieśmiertelnego Kościuszkę.“

Takim, jakim był, nie mógł przeto Stanisław pozostać; potrzeba go było przerobić, i w tym celu, obierając znowu drogę niestosowną, posłano go do Paryża. Tam „niedługo niezgrabny i sztywny student niemiecki przeobraził się w cudacznego Paryżanina, tak samo nienaturalnego, a może jeszcze śmieszniejszego.“ Ze wspomnieniami kilku łatwych zdobyczy buduarowych powrócił Stanisław z Francyi i wszedł jako nader pożądana osobistość, w wielki świat warszawski. W Warszawie w najlepsze kwitnęły jeszcze wtedy owe błogie czasy pruskie, gdzie to „nie myślano o niczém inném tylko, jakby sobie upiększyć życie, naśladować o ile się dało zbytek, zabawy i zwyczaje cudzoziemskie.“ Pierwszą gwiazdą na tamtejszym horyzoncie była właśnie owa niedoszła niegdyś narzeczona Stanisława, Łucya, która tymczasem weszła w konwenansowe małżeństwo z bogatym hrabią Robertem. Stanisław zwrócił do niej swe zabiegi i oni, co niegdyś tak obojętnie, z wzajemném dla siebie lekceważeniem się z sobą rozeszli, teraz przez próżność, gdy ona, jako pierwsza elegantka, błyszczała po salonach, a on, jako czystej wody Paryżanin, na rękach przez podobnych sobie był noszony, zbliżyli się ku sobie i w ścisłe, bardzo ścisłe weszli z sobą związki. Zaczęło się dla obojga szczęśliwe życie, lekkie, rozkoszne, którego zabawy i najwymyślniejsze rozrywki jedyną były treścią. Hrabia Robert jednak, który zdawał się nic nie widzieć i nie wiedzieć, spostrzegł, co się dzieje koło niego, i podał się o rozwód. Stanisławowi należało ofiarować teraz swoją rękę Łucyi, ale tego bynajmniej on sobie nie życzył. Delikatnie rozplątał węzły łączące go z nią, a Łucya nie rozpaczając długo, wyszła wkrótce za mąż za jednego z generałów francuskich.

Właśnie w tym czasie zaszła wielka zmiana w losach kraju: miejsce Prusaków zajęli w Warszawie Francuzi. Wszystko, co żyło, zelektryzowane nowymi nadziejami rzuciło się pod sztandary lub do służby cywilnej. Stanisław, który nigdy nie miał pojęcia, co to jest patriotyzm, i młodość spędził na romansach i uciechach, który nie wyrobił sobie ani przychylności, ani szacunku między ziomkami, nie czuł ochoty iść pod broń, a z wielkiém swoim zdziwieniem w służbie cywilnej nie mógł dla siebie znaleźć miejsca. Wszyscy usuwali się od niego, uczuł się samotnym na świecie i obcym dla wszystkich. Nie pozostawało mu nic, jak pojechać do swoich dóbr i zakopać się na wsi. Okropna to była zima, którą nasz światowiec musiał przepędzić w swym dworze w towarzystwie jedynie swych służących, proboszcza i dwóch lub trzech sąsiadów, którzy o niczém inném nie

byli zdolni rozmawiać, tylko o tém, że mrozy bardzo wielkie, a zwierzyńny bardzo mało. Nieograniczona nuda opanowała Stanisława, łożony smutek nad nim zaciężył. Ale miała to być tylko chwilo- wa pokuta za jego lekkomyślne życie bez celu. Czego się bowiem najmniej spodziewał, znalazła się w niedalekiem jego sąsiedztwie młoda kobieta, niegdyś biędna jego kuzynka Teresa, a dzisiaj wdo- wa po bogatym generale. Przed laty ciotka Stanisława pragnęła ich skojarzyć, ale tym planom pocziwój kobiety stanęła wpoprzek du- ma pani Orańskiej, która dla swego syna świetniejszego wymagała losu. Teraz spotkali się z sobą niespodzianie: on nawpół przeżyty i znudzony, rozczarowany do świata nadużyciem jego przyjemności, ona z całą młodzieńczą świeżością uczucia, rozsądna, pełna taktu i delikatności. Łatwo się domyślić, że w tym stanie rzeczy Teresa stała się aniołem pocieszycielem Stanisława, który rozciągnął nad nim swoją opiekę i przez niewidoczny wpływ moralny zmienił jego wyobrażenia i oczyścił serce. Stanisław pozbył się swego salonowe- go a razem i śmiesznego tonu, zaczął się poważniej zapatrywać na życie i ludzi, przestał widzieć w kobietach tylko fałsz i udanie i oże- niwszy się z Teresą, „stał się poważanym obywatelem, czułym mę- żem i doskonałym ojcem.“

III.

Przez dziesięć lat następnych, po wydaniu tych francuskich „Nouvelles“, Nakwaska zupełnie nic nie drukuje a nawet nie pisze. Dopiero w roku 1831 krwawe i groźne ówczesne wypadki podnoszą uczucie i podniecają wyobraźnię w tój już wówczas pięćdziesięcio- letniej kobiecie i na ich tle kreśli ona i niebawem wydaje na widok publiczny „pierwszą swą pracę w ojczystym języku“, powieść p. t. „Aniela czyli słubna obrączka.“ Ponurym obrazem chwil poprze- dzających wybuch rozpoczyna się to opowiadanie. Tajemny syko- fanta Miętowski, aby usunąć sobie z drogi nienawistnego rywala Zdzisława Romańskiego, który kochał się w pięknej i szlachetnej dziewczicy Anieli Rożewskiej, denuncjuje go i oddaje do więzienia, a sam żeni się z Aniela nieznaną ani jego charakteru, ani tajnego zajęcia. Jego tryumf nie trwa jednak długo, bo zaraz z początkiem wybuchu, lękając się zemsty ludu, zmuszony jest w łeb sobie wypa- lić. Aniela zostaje nagle wdową; przeszłość męża odkrywa się teraz przed jój oczami, i choć Zdzisław, uwolniony tymczasem z więzie- nia, ofiaruje jój swą rękę i o jój przyjęcie usilnie błaga, ona nazbyt wyegzaltowaném uczuciem wiedziona, nie przyjmuje tój ofiary z tój racy, że nosiła jakiś czas hańbiące ją dzisiaj nazwisko. Potrzeba

było aż ostateczności, aż tego nieszczęścia, że Zdzisław ranny w bitwie nie pozwala sobie zrobić amputacji, która jedynie ocalić go mogła, jak tylko pod tym warunkiem, jeśli Aniela na jego prośby się zgodzi. Aniela musiała ustąpić i na szpitalnym łóżku, odbył się jej obrzęd ślubny z nieszczęśliwym Zdzisławem, a bezpośrednio potem i amputacja jego ręki. Obrączkę ślubną, która ich połączyła, Aniela złożyła w ofierze na cele ogólne, a „piękny jej pomysł znalazł wielu naśladowców.“ Zdzisław przyszedł niedługo do zdrowia, i na ostatniej karcie tej powieści napisanej jeszcze przed ukończeniem wypadków, rozstajemy się z młodą parą, rokującą sobie najpiękniejsze na przyszłość nadzieje.

Na tle tych samych wypadków historycznych, lubo już wtenczas, kiedy ich rezultat był całemu światu wiadomy, bo w r. 1832, powstała inna powieść Nakwaskiej, nazwana przez nią „obrazem romantycznym“ p. t. „Powstaniec...“, a wydana dopiero w kilkanaście lat później, w r. 1845, w Lipsku, pod pseudonimem Pani T...skiej. Rozmiary tej powieści o wiele szersze, różnaitość w niej większa, staranniejsze także wykończenie, zarówno w opowiadaniu, jak i w kreśleniu charakterów. Widać na niej, że autorka nie pisała jej pod wrażeniem bezpośrednio podniecających ją wypadków, że dłuższy namysł i ogarnięcie całości tych wydarzeń, pozwoliły jej na silniejszych podstawach rzecz swoją oprzeć i wybitniejsze nadać jej rysy. Z Warszawy, gdzie się powieść rozpoczyna, z domu pana Koprowicza przenosimy się na Litwę, na zamek bliskiego jego krewnego Olbrachta, żyjącego od dawnych lat zdala od świata, otoczonego miłością poddanych, którzy widzieli w nim najlepszego ojca i opiekuna. Ówczesne wypadki pobudzają do czynu i starego samotnika-patriarchę. Jego siedziba staje się punktem środkowym nowych usiłowań. Tutaj także spotykają się z sobą młody Wielkopoleanin Leon Zborowski, losem wojny w te strony zanieiony, i ukochana przez niego Zofia, córka Koprowicza z Warszawy, która, niby nowa Amazonka, rzuciła się w wir krwawych wypadków, i wszelkie trudy i niebezpieczeństwa z kochankiem podzielała. Obojgu udało się z nich wyjść szczęśliwie, chociaż usiłowania Olbrachta i Leona spełzły na niczem. Cali i zdrowi wrócili do Warszawy, gdzie nowe a różne czekały na nich ciosy. Umarła niedługo siostra Zofii, Helena, będąca zupełnym jej kontrastem; o tyle melancholijna, uczuciowa i wszystko w sobie tłumiąca, o ile Zofia była energiczną, żywą i otwartą. Helena pokochała niegdyś bez wzajemności Leona, dzisiaj narzeczonego swjej siostry, a miłość ta bez nadziei tajona w głębi duszy, wrażenia odbierane z codziennych smutnych wypadków, wreszcie trudy, jakie podejmowała pielęgnując w szpitalu chorych na cholere, wpędziły

ją zawczasu do grobu. Później nieszczęścia ogólne coraz większym bólem napawały tę rodzinę, aż wreszcie rozproszyły ją i wyгнаły zagranicę. Tam dopiero odetchnęli po jakimś czasie, szczęśliwi przynajmniej o tyle, że wszyscy znaleźli się z sobą, i uniknęli śmierci lub więzienia.

Wątek do tej powieści miała wziąć autorka, nie tylko co do historycznego przebiegu wypadków, z wydarzeń rzeczywistych i prawdziwych. W przedmowie zapewnia czytelników, że „jedynie osoby (czyli jak należy rozumieć: nazwiska osób) są w piśmie moim zmyślone; działania zaś onych, wypadki historyczne, równie jak i towarzyskie, drobne zdarzenia, aż do rozmów, potwarzy, plotek, wszystko to aż nadto było istotne” — a nie mamy najmniejszego powodu temu zapewnieniu nie wierzyć. Wogóle Nakwaska dobrą była obserwatorką i nie rozminęła się z prawdą, pisząc w swoich „Wspomnieniach” znane już czytelnikowi słowa, że od dzieciństwa usposobioną była do uważania i do zapisywania sobie w pamięci „tak ważnych jako i drobnych codziennego życia wypadków.” Ten dar natury dopomógł także nie mało jej artystycznym celom. Uważając wszystko dokoła siebie jak było, musiała widzieć złe i dobre rzeczy, ujemne i dodatnie ludzkie charaktery, i tym sposobem zdolniejszą była do rozdzielania światła i cienia, które utworom sztuki dodają tyle plastyczności, różnaitości, a przeto także i życiowej prawdy. Nawet w powieściach tego rodzaju jak „Aniela” i „Powstaniec”, gdzie tak łatwo entuzjazm, miłość przedmiotu, który się obrabia i podniesione uczucie, z jakim się pisze, mogą sprowadzić pewną jednostronność optymistyczną w zapatrywaniu, zachowała ona bystry pogląd i trzeźwość umysłu. Społeczeństwo, które kreśli w tak wyjątkowych chwilach, podniecających u ogółu wyższe, szlachetniejsze i dalekie od egoizmu uczucia, nie składa się w jej opowiadaniu z samych bohaterów lub ludzi poświęcających się bezwzględnie. Zwykle słabości i wady ludzkie i wtenczas, jak kiedyindziej władają sercami i wychodzą na jaw, a obok szlachetnych są podli, obok walecznych są tchórze, obok ofiar gotowych na wszystko są zimne samoluby. Nie dziwimy się przeto, owszem uważalibyśmy to za błąd psychologiczny i artystyczny, gdyby tak nie było, że w obu tych powieściach, związanych tak silnie z politycznymi wypadkami, obok jasnych i szlachetnych postaci Zdzisława i Anieli, starego Olbrachta i jego córek, Leona i wielu jeszcze innych znajdujemy charaktery ujemne lub wstrętne, takiego sykofantę Miętowskiego lub podstarzałą a lekomyślną elegantkę Laurę, któraby chciała jak najprędzej uciec z Warszawy, bo w tych ciężkich czasach nie było w niej balów; albo w drugiej powieści podobną do niej, tylko złośliwą Wandę, córkę

pana prezesa Moderanckiego i godnego jój ojca, który w duszy po-
tępiał wszystko, choć musiał nieraz inaczej udawać, i którego ka-
pelusz „można było za polityczny termometr uważać“, bo „pewnie
nie zgorzój się powodziło, kiedy on go całkiem zdejmował z głowy;
przeciwnie zaś, nie klaniał się nikomu albo bardzo lekko, kiedy smu-
tek.... (dokoła) spostrzegać się dawał.“

Odtąd stale i częściej niż dawniej zajmuje się Nakwaska piórem.
Pisze powieści na tle historycznych wydarzeń lub podań, z włas-
nych wspomnień i obserwacyi układa obrazki i opowiadania, spisuje
te wypadki rzeczywiste i opisuje tych ludzi, na których własnymi
oczami kiedyś patrzyła, kreśli opisy podróży przez siebie odbywa-
nych, a wreszcie w celach pedagogiczno-dydaktycznych pisze po-
wiastki dla dzieci i dla ludu.

Pomówmy najprzód o tych ostatnich, któremi Nakwaska zna-
komicie nieraz pomnażała nieliczne jeszcze wówczas i nie obfite pło-
dy tego rodzaju piśmiennictwa.

„Odwiedziny babuni czyli powieści dla zabawy grzecznych
dzieci, napisane przez Annę Nak...“ (Warszawa 1833), są z wielu
względów bardzo dobrą książeczką dla dzieci, wyższą od niejednej
z tych, któremi starsi młodsze pokolenia zabawiać i nauczać pragną.
Nie ma w niej jakiegoś sztucznego, wyłącznie na ten cel, *ad usum
delphini*, przez autora stworzonego świata, z jakim się w téj gałęzi
literatury dosyć często spotyka. Autorka sama także nie moralizuje
wiecznie i nie gdera; jako babunia, czule kochająca swe wnuczeta,
kochająca ona w nich wszystko, nawet ich słabości i małe grzeszki,
a jeśli doświadczenie i rozsądek każą jój te wady wyplenić i karcić,
to ona to robi nie w sposób chłodnego i z góry przemawiającego
pedanta, ale łagodnie, z miłością, jakby od niechcienia, czując, że na
te mdłe jeszcze roślinki nie można zbyt silnego wywierać nacisku,
ale powoli i delikatnie naginać je potrzeba.

Pomimo tych zalet wewnętrznych i niemałego talentu pisar-
skiego „Powieści Babuni“ zdają mi się mieć jedną bardzo wielką
wadę. Z czterech powiastek, należących do tego zbioru, trzy przed-
stawiają nam różne wady dziecinne, których jedynym powodem jest
złe wychowanie i co więcej zły przykład, dane tym dzieciom przez
rodziców. „Antosia czyli wychowanka samój siebie“ jest córką
dwóch brzydkich skapców, którzy dla chciwości grosza nie chcą dać
przyzwoitego wychowania córce swój i młodszemu od niej bratu.
Oboje dzieci rosną dzikie i zaniedbane, i kto wie coby się z nich
było zrobiło, gdyby nie rozsądek Antosi, która w staraniu o przy-
szłość musiała zastąpić rodziców, i po wielu a wielu prośbach uzy-
skała nakoniec tyle, że ojciec dał jój jakiś mały fundusik, przy po-

mocy którego odwiozła brata do szkół, sama umieściła się na pensyi, i z wielką biędą i własną pracą przez parę lat na wykształcenie obojga łożyc mogła.

Gorzój jeszcze działo się u państwa Słowieckich (w drugiej powiastce Oleś i Marynia). Ojcu, znakomitemu urzędnikowi, zatrudnienia publiczne nie dozwalały wglądać w wychowanie dzieci. Matka „tak wiele zajmowała się towarzystwem, strojami i zabawami wielkiego świata“, że również na to nie miała czasu. Dzieci zostawione samym sobie, rosły jak chciały. „Marynia była niewypowiedzianie leniwa, niczego jój się uczyć nie chciało, oprócz tańca.“ Oleś zaś „tak rozstrzepany, że o niczém jak o figlach myślał (*sic*), a wracając do domu ze szkoły, jedynie tylko wieczorną zabawą, teatrem (gdzie ich matka często z sobą brała), balikiem, albo spacerem miał głowę zajęta.“ Potrzeba było dopiero nieszczęścia, ażeby poprawić — kogo?... przedewszystkiém tych nierozsądnych rodziców. Pan Słowiecki wskutek zmian zaszłych w kraju, stracił urząd, a że przez życie wystawne nic więcj prócz długów nie miał, musiał, wzięwszy małą dzierżawę na wsi, jąc się ciężkiej pracy. Na wsi znowu dzieci ani czasu, bo trzeba było co innego robić, ani sposobności do wykształcenia nie miały. Szczęściem ich ciotka hrabina, kobiéta bardzo rozsądna, która już dawniej, lubo bez skutku, zbawienne rady rodzicom dawała, przysła im z pomocą, i na swój koszt Olesia i Marynię kształcić do miasta oddała.

Co do joty taką samą matkę miała i Elżusia (powieść czwarta). Jako „jeszcze powabna i młoda, a przytém majetna wdowa lubiła się bawić, tańcować i stroić.... Córeczka więc, wstępując w ślady mamuni, lubiła jeszcze bardziej jak ona zabawy, stroje i tańce; a lubo dopiero jedenastoletnia panienska, wzdychała tylko do owego czasu, gdzieby jój chwile, tak jak chwile życia jój matki, różnością tylko uciech odznaczone być miały.“ Tak dzięki płochój matce, Elżusia w jedenastu latach była już kokietką i pełną próżności elegantką. Szczęściem, że jeszcze na czas ciężkie upokorzenie i zawód, jakich doznała na jednym świetnym baliku dzieciennym, z tych wad ją wyleczyły, tak, że była odtąd jedną z najgrzeczniejszych i najlepiej uczących się panienek w Warszawie.

Sensu moralnego tym trzem powiastkom nie brak, ale droga, po której się do niego dochodzi niestosowna i fałszywa. Tak jak są opowiedziane mogłyby przewrócić niejedną główkę dziecięcą; bo proszę tylko zauważyć, co za naukę mogłoby wyciągnąć rozsądniejsze i więcj zastanawiające się dziecko z tego, gdyby się dowiedziało, że głównym i jedynym powodem jego wad mogą być starsi i to jeszcze rodzice. Wszelka powaga i wiara w nieomylność prze-

wodników, którą dziecko mieć musi, jeśli ma ulegać i dać się kierować, zostałyaby mocno na szwank wystawiona a nawet musiałyby upaść. A to do zadań pedagogicznych wcale podobno nie należy.

Niefortunną również, lubo z innego powodu, jest ostatnia z tych powiastek: „Łakomy Wilhelm“. Boć przecie nie można szczęśliwym nazwać tego pomysłu, że jakiś mały łakomec poprawił się ze swęj wady przez to, że słyssał, jak inny podobny obżartuch będąc niegdyś młodym jeszcze kominarczykiem i dostawszy się przez komin do pustego pokoju pewnego doktora, z łakomstwa zjadł, nie domyślając się co robi, preparat anatomiczny z ciała małego dziecka. Chociaż wydarzenie takie miało się w istocie gdzieś wydarzyć, fakt sam jest więcęj niż nie estetyczny, jest obrzydliwy, a podobnemi obrazami nie należałoby zatruwać czystęj imaginy dziecka.

Nierównie wyżęj od „Owiedzin Babuni“ stoją: „Niedzielne wieczory starego stolarza. Powieści dla rzemieślników“ w dziesięć lat późnięj r. 1843 w Lesznie i Gnieźnie wydane.

Jak w ogóle o Nakwaskięj można powiedzięć, że znała świat, a zatęm posiadała pierwszy i najwężniejszy warunek, ażeby go mōdz malować, tak i w szczegōlności można twierdzięć, że znała lud i tę klasę rzemieślniczą, która po małych szczegōlnię miasteczkach typowych nieraz dostarcza postaci. Przebywając często na wsi, bo każde lato prawie tam przepędzala, mieszkając w szlacheckim dworze jako pani i gospodyni, musiała z samęj już konieczności stykać się zbliska i osobiście z ludźmi tego stanu. Nic dziwnego, że poznała ich równię dobrze jak te damy wielkiego świata, z któremi żyła w Warszawie, albo jak tych cywilnych i wojskowych dandysów, którzy się koło nięj kręcili, ubiegali o jęj względy albo powiernicą swoich tajemnic robili.

Nakwaska przemawia do ludu językiem dla niego zrozumiałym, mówi mu o rzeczach, które on zna i z któremi codzien u siebie się spotyka; nie prawi mu na wysoką nutę kazań i morałów, ale ze stanowiska praktycznego, w sposób obrazowy i jasny zle skutki różnych nałogów, istniejących w tęj sferze, i ciemnoty przedstawia. Przystępuje do niego nie jako człowiek z obcego świata, ale jako znająca dobrze i z różnych stron ten mniejszy światek, w którym lud żyje; przystępuje do niego przytęm z przychylnęm i współczującęm sercem, jak to zauważyła jeszcze El. Ziemięcka pisząc recenzją o tęj książce (w „Pielgrzymie“ z r. 1844 T. II): „myśl pomocy i połączenia stanów przez miłość i prawość unosi się ponad całęm dzięlkiem.“

Idealnym pośrednikiem między autorką a czytelnikami, podobnie jak babunia w powieściach dla dzieci, jest w „Niedzielnych wie-

czorach“ stary stolarz Maciej Chlebowski w mieście Turku pod Kaliszem. On to opowiadał dla nauki i pożytku swych wnuków rozmaite „upłynionych lat przygody“, zasiadłszy w wygodnym krześle własnej roboty „przy piecyku palącym się jaskrawo, około którego siedziały wnuczeta z nateżoną uwagą, otwartymi uszami i oczami, a pełnemi pieczonych kartofli ustami.“ Ten sposób inscenowania powieści nie był wynalazkiem Nakwaskiej. U nas podobno pierwsza użyła go ks. Czartoryska w niezapomnianym jeszcze dotąd „Pielgrzymie w Dobromilu“, a że to sposób dobry i skuteczny dowodem między innymi i „Wieczory pod Lipą“, którym to wprowadzenie żyjących ludzi w opowiadanie minionej przeszłości tyle życia i powiew nawet poetycznego jakiegoś uroku dodaje.

Z przygody „Ślusarza z Jodłowa“, którą najprzód stary Maciej wnukom opowiedział, wynika trochę już zpowszedniały morał, że cnota w końcu zwycięża a występki odnosi karę. Tak się stało i tutaj, kiedy przewrotny chłopak od kredensu Grześ posądził o kradzież, którą sam wykonać zamierzał, pocziwego ale nie bardzo poradnego ślusarza Goździckiego. We „Wślawnym malarzu“, powiastce osnutéj na „prawdziwym wydarzeniu“, uwidocznia się, choć w niektórych szczegółach na owe zwłaszcza czasy nie zupełnie prawdziwych, ta myśl wzajemnej pomocy i miłości między stanami, którą już Ziemięcka Nakwaskiej za jedną z większych zalet poczytywała. Dziesięcioletni syn biednego ekonoma, który pokazywał zdolności i ochotę wielką do rysunków, znajduje protektorów w osobie baronostwa Trawińskich i wykształciwszy się ich kosztem, zostaje sławnym malarzem, który z panami przebywa, w powozie jeździ i dukatami płaci. Dobry to przykład z jednej strony dla tych co mają pieniądze, aby talenta w kraju wspierali; z drugiej strony dla tych co mają talent, aby nie żalowali pracy, a dojdą do stanowiska w świecie i dostatku. Jak wiele jeszcze nad tymi małuczkimi trzeba pracować, jak wiele im pomagać, aby się podnieśli z moralnego poniżenia i do prawdziwego poczucia człowieczeństwa przyszli, o tém wiedziała bardzo dobrze nasza autorka i bardzo jéj to na sercu leżało. Nie idealizując rzeczy niepotrzebnie, nie ludzając siebie i innych, co nikomu korzyści a wszystkim szkodę tylko przynosi, nie wzdrygała się podnieść zasłony nad tém, co w życiu ludu ujemną i ciemną, bardzo ciemną stronę stanowi. Takim patologicznym okazem stanu klas niższych jest czternastoletnia dziewczyna wiejska Aneczka w powiastce „Nie żartuj z ogniem, czyli pani burmistrzowa.“ Wyrosła ona do tych lat jak rosna chwasty w polu albo drzewa w lesie—dziko, bez niczyjego przyczynienia się, aby jakiegokolwiek światelko w jéj duszy zapalić: „żadnych gruntownych zasad ani moralnego wycho-

wania w dzieciństwie nie otrzymała, o nauce religijnej nic nie wiedziała, zgoła tak wzrosła i do lat przyszła, jak niestety! większa część wiejskich dzieci rosła (*sic*) i do lat przychodzi (*sic*), mało albo nic wcale od zwierząt, które pasą i hodują, różniące się.“ I cóż się stało? Z głupoty, z bezmyślności, dla dogodzenia najnierozsądniejszej chwilowej zemście, po dwakroć ta dziewczyna podpała zabudowania dworskie, nie przeczuwając nawet jak wielkie zło popełnia. Jako niepoprawna podpalaczka dostaje się do kryminału na lat kilka, a właściwie jako ofiara ciemnoty i moralnego zaniedbania. Wiele takich ofiar, sprowadziwszy na siebie i na drugich nieszczęść bez liku, ginie nie powrotnie w murach kryminałów, w rynsztokach miejskich albo pod wiejskimi płotami, bo raz potępione przez sprawiedliwość ludzką, choćby miały nawet w sobie dość siły do podniesienia się, zamkniętą zwykle mają drogę do powrotu na łono społeczeństwa. Aneczkę nasza autorka wyratowała szczęśliwie z tej toni, chcąc pokazać, że trzeba tylko miłości chrześcijańskiej i dobrego serca u ludzi, aby nawet z byłego kryminalisty zrobić porządnego człowieka. Kiedy Aneczka wypuszczona z więzienia stała na ulicy, nie wiedząc co począć z sobą i gotowa okropne swoje położenie w nurtach Wisły zakończyć, szczęśliwym trafem spotkał ją tam poczciwy jakiś i litościwy ksiądz staruszek, przemówił do niej, wziął ją do siebie, oświecił jej umysł, dał jej pojęcie o moralności i zrobił z niej niedługo innego człowieka. Przeszłość smutna Aneczki pod dachem zanego kapłana utonęła w tajemnicy; znalazł się potem jakiś mały urzędnik, któremu dziewczyna się spodobała, oświadczył się o nią księdzu a otrzymawszy posadę burmistrza w pobliskim miasteczku, ożenił się z nią. Była podpalaczka i kryminalistka, którą ciemnota popchnęła do występku i o hańbę przyprawiła, kiedy dobrzy ludzie zajęli się nią i trochę oświecili, została panią burmistrzową i najcnotliwszą żoną i matką.

Obok ciemnoty drugim rakiem toczącym najzdrowsze soki wiejskiego i miejskiego ludu, to niezawodnie pijaństwo. Nie ma książki poświęconej dla ludu, nie ma teatralnej sztuki ludowej, w którejby nie występowała wstrętne ale ciągle jeszcze prawdziwa i niezbędna postać pijaka. Nakwaska nie mogła jej także pominąć i wprowadziła ją w ostatniej powieści starego Macieja: „Kuźnia przy bitej drodze.“ Zgodnie z psychologią i codziennym doświadczeniem przeprowadziła ona rzecz tak, że pierwszym początkiem pijaństwa jest przyzwyczajenie zwolna postępujące, a najsilniejszą jego podniętą towarzystwo amatorów trunku. Kował Marcin był długo „majstrem umiętnym a nawet pracowitym“, ale na nieszczęście już od młodu lubił „w święto parę godzin w karczmie posiedzieć i czasem

sobie trochę podochocić!... Wyszedłszy z czeladnika na majstra, coraz ściślej ten zwyczaj zachowywał; już nie w niedzielę i święta, ale często i w dzień roboczy, siedział Marcin Kowal za stołem, zapijał to piwo, to wódkę do szarego zmroku, a biedna żona jego ledwie go z dziećmi do karczmy przyszedłszy, z niej na wieczerzę wyciągnąć zdołała.“ Nieszczęsny nałóg Kowala wzrósł jeszcze bardziej, kiedy niespodzianie przyszedł do nich pewnego razu jakiś diad, jak się później pokazało brat żony Marcina, stary wojak, co się bił z Napoleonem po wszystkich kątach świata. W swoich łachmanach dziadowskich przyniósł on dużo różnej złotój i srebrnej monety, co było rzeczą bardzo pożądaną i upadające gospodarstwo Kowalów podnieść mogło, ale niestety! przyniósł także i wybredny smak do gorących napojów. Piwo i wódka krajowa były dla niego za słabe, w gorących krajach przyzwyczał się do araku, i szwagra, wkrótce pić go nauczył. Zaczęła się teraz dopiero pijatyka na umór—dukaty i ruble wychodziły na arak, Kowal o kuźni, o dzieciach, żonie i o swoim zdrowiu ani pomyślał. Ale do czasu dzban wodę nosi; kiedy się raz „jak nierozsądne bydłęta popili,“ stary wojak uczuł w sobie jakieś straszne boleści, wybiegł ze szwagrem na pole, i tam jęcząc „po ziemi tarzać się zaczął.“ Było to „zapalenie wewnętrzne spirytusu,“ które zabiło starego pijaka. Kowal, który widział okropne symptomy choroby i cierpienia umierającego, z przerażenia uciekł do lasu, gdzie go dopiero nadedniem „w zupełném obłąkaniu zmysłów“ znaleziono.“ Rok cały leczył się w szpitalu, wrócił do domu zdrowy i co więcej poprawiony ze swego nałogu. Za resztę pieniędzy, nie przepitych przez brata, Kowalka kupiła gdzieindziej kuźnię zdaleka od karczem, i tam przy pracy dorobili się znowu znacznego mienia.

Musimy tutaj zrobić jedną uwagę. W pracach literackich Nakwaskiej nie widać nigdzie cofania się albo, coby naturalniejszym było, postępu. Jak się przedstawiła światu w pierwszych swoich francuskich powieściach, taką pozostała już ciągle do końca swego zawodu. Talent jój ani się nie rozwinął ani nie podniósł, sposób pisanania i technika pisarska pozostały téż same; nie odmienił się zarówno ani rodzaj pomysłów ani téż sztuka, z jaką je wykonywała. Przyczyna tego, niezwykłego zresztą zjawiska, była bardzo prosta i naturalna. Ta ciągła tożsamość autorki i jednakowa wartość jój prac wyniknęły bezwątpienia z tego, że Nakwaska wzięła się do pióra w wieku już dobrze dojrzałym, w téj epoce życia, w której ani zdolności umysłowe, ani pogląd na świat, ani uczucia nie podlegają przeobrażaniom, jedyna odmiana w nich możliwa jest chyba ta, że słabną i martwieją z nadejściem późniejszych lat starości. Wszystkie prace Nakwaskiej są to więc płody jednej pory życia, a jako takie wy-

bitnych różnic na sobie nosić nie mogą. Przez te dwadzieścia pięć lat wprawdzie, przez które nasza autorka trzymała pióro, w druku i kierunku naszej literatury zaszły ogromne zmiany i przewroty, zwłaszcza między 1820 a 30 wielka rewolucja romantyczna, która zamknęła starą epokę i na nieznanie dotychczas tory i umysły i piśmiennictwo popchnęła, ale na osobie Nakwaskiej i na jej talencie nie zrobiła ona wyraźnego wpływu i przełomu. Z właściwą sobie giętkością umysłu uległa ona teoretycznie urokowi nowej poezji—gdy się ta pojawiła, Nakwaska żyjąca w Warszawie w ciągłym otoczeniu klasyków i w ich towarzystwie nader bliskim, bardzo prędko przyłączyła całym sercem do tych nowych poetów, którzy przeciwny i wrogi obóz stanowili. Już w roku 1831 w powieści „Aniela“ wspomina ona o „uroczych pieśniach Mickiewicza“, na co pewnie oburzył się niejeden z klasyków bywających na literackich zebraniach w jej salonie. Ale za sercem nie mógł już widać podążyć wtedy jej umysł i talent—pomimo że dokoła niej wszystko w literaturze się odmieniało, ona zachowała jak dawniej ten sam sposób tworzenia, ten sam styl i koloryt w swych utworach. Sława autorska Nakwaskiej straciła na tym nie mało. Gdyby wcześniej była zaczęła pisać, gdyby czynniejszą była, w tych pustych w jej bibliografii latach między 1821 a 31 rokiem, w czasie kiedy jeszcze występowali pokrewni jej duchem, choć nieraz wyżsi talentem, romansopisarze historyczni, byłaby zapewne, dobiwszy się uznania, kiedy na to była pora, urosła na większą w literaturze osobistość niżeli jest nią dzisiaj. Kiedy ta pora niezużytkowana przez nią przeminęła, przy nowych talentach, przy silniejszym mianowicie rozwoju powieściopisarstwa od wystąpienia Kraszewskiego, to co ona dać mogła, musiało się wydać spóźnionem i nie robiąc wrażenia, chłodniejszego doznawać przyjęcia.

To powiedziawszy możemy przystąpić do przejrzania reszty jej powieści z tej późniejszej epoki.

„Młodość Kopernika“, drukowana w noworoczniku Warszawskim „Jutrzenka“ na r. 1834, ma pewien poetyczny urok w alegoryi, jaką autorka wysnuła z pewnego, widocznie przez nią samę zmyślnego wydarzenia z młodości Kopernika. Przyszły wielki astronom przed odjazdem do Bononii jedzie z Krakowa do Torunia, aby tam rodzicielskie błogosławieństwo otrzymać. W czasie drogi wybawia swą przytomnością umysłu Annę córkę księcia Płockiego od napaści greckiego księcia Nicefora Laskarisa, który gwałtem chciał ją porwać, i otrzymuje od wdzięcznej dziewicy na pamiątkę przepaskę z jej włosów i złotą tarczę. Na tej tarczy, którą Laskaris w ucieczce zgubił, wyobrażony był zodyak i geniusz wskazujący na słońce z na-

pisem greckim: On jemu miejsce wskazał... Do śmierci zachował Kopernik w sercu pamięć plockiej księżniczki i tę pamiątkę po niej, która symbolicznie przepowiedziała mu jego geniusz i jego wielkie odkrycie.

Podobnym alegoryczno-legendowym pomysłem ubarwiona jest także „Chrzestna matka w koronie czyli pierwsze róże“ (w Pielgrzymie, r. 1844 T. II str. 273—290). Rzecz dzieje się w górskich okolicach Nowego Sącza na początku 15 wieku. Pani jednego z tamtejszych zamków Elżbiecie z Pileckich, wdowie po Granowskim, czarownica Boryssa przepowiedziała, że będzie matką i żoną razem króla—niby coś w guście nowej Jokasty. Przepowiednia ta nie doprowadziła jednak wcale do edypowej tragedii. Granowska była niegdyś matką chrzestną Władysława Jagiełły, kiedy on wraz z swym ludem chrześcijaństwo przyjmował, i występowała przy tej uroczystości ubrana w pierwsze znane w Polsce stulistne róże. Krzak takich róż podarował Jadwidze Wilhelm Rakuski, a Jadwiga rozłączywszy się z nim na zawsze, oddała tę smutną pamiątkę Elżbiecie. Młoda matka chrzestna musiała w tym stroju uroczu wyglądać, bo oto po latach wielu, owdowiały Jagiełło przypomina sobie w swój samotności tę piękną matkę chrzestną w róże ustrojoną, jedzie w Karpaty na łowy i przepowiednia czarownicy się spełnia: Elżbieta będąc chrzestną matką króla, zostaje razem i jego żoną. Nieszczęśliwa miłość Jadwigi z księciem Wilhelmem połączona tu w podobny sposób z wprowadzeniem pierwszych stulistnych róż do Polski, jak w dawniejszej powieści naszej autorki odkrycie wód mineralnych w Krynicy ze smutnymi dziejami Haliny.

„Otton i Berta, powieść z początku XVIII stulecia na rodzinném podaniu osnuta“ (drukowana w Pielgrzymie r. 1844 T. I. str. 181—224) odgrywa się w Kurlandyi. Otto z Kniprody opuszcza starego ojca i ukochaną przez siebie Bertę, córkę hrabiego i starosty z Döblina, aby iść na wojnę. Ubogi, nie miał on nadziei by otrzymać rękę córki bogatego magnata, więc przez czyny bohaterские pragnie zdobyć sobie sławę, znaczenie i majątek. Po siedmiu latach, walcząc przez ten czas w wojsku Augusta II, powraca w rodzinne strony okryty sławą i szcycący się szczególną łaską królewską. Ojciec jego umarł tymczasem, pozostawiając mu wielkie skarby, do których przedtém nigdy się nie przyznawał. Dlaczego? tego nam autorka nie tłumaczy, choć motyw to jest bardzo ważny, który całej tej rzeczy mógł być nadać inny zupełnie obrót. W okolicach Döblina grasuje w tym czasie straszna zaraza, której aby ujść ojciec Berty kazał swój zamek szczelnie zamknąć, tak że nikt ani z niego ani do niego nie mógł się dostać. Lecz mimo to wszyscy służący w zamku wymarli,

a reszcie mieszkańców groziła nie mniej straszna od zarazy śmierć z głodu. W tém rozpaczliwém położeniu zjawia się przed zamkiem Otto, i zawiadamia zamkniętych w nim, którzy nie mieli żadnej wiadomości o tém, co się poza murami dzieje, że zaraza już ustała. Uszczęśliwiony ojciec Berty przyrzeka mu córkę, wspaniale przygotowania robią już do wesela, kiedy w tém Berta wycieńczona trudami podczas zarazy i późniejszymi nagłemi wzruszeniami, u progu szczęścia umiera. Na tém powinnaby się była skończyć ta historia; na nieszczęście autorka dodała jeszcze rodzaj epilogu, który zacierając zupełnie wrażenie, jakie dzieje téj stałej i romantycznej miłości mogły być wywrzeć na czytelniku. Ten czuły, przez tyle lat wierny swéj kochance Otto, we dwa lata po jéj śmierci żeni się z jéj siostrą Amalią, a my nie wiemy nawet, dlaczego autorka tak rzecz poprowadziła, czy po to, żeby powiedzieć, że nawet taka niezwykła i gorąca miłość z czasem stygnie, czy téż żeby pokazać, że Otto w głębi duszy nie był zupełnie takim, jakim się wydawał. Ale w takim razie trzeba było chociaż małą wskazówką naprzód na to czytelnika przygotować.

Największą co do rozmiarów powieścią Nakwaskiej, która téż największą jéj popularność zjednała, tak jak dawniejsze obrazy z wydarzeń 1831 r. sympatyczną dla ogółu ją uczyniły, była „Czarna mara“ wydana w Warszawie 1814 a pisana w 1838. Za źródło z którego zaczerpała wątek do téj powieści, posłużył jéj Herbarz Paprockiego, tudzież „Dzieje w Księstwie Mazowieckiem“ artykuł drukowany w kilku zeszytach Pamiętnika Warszawskiego z r. 1820. W Paprockim, w którym już nie raz, co dobry jéj zmysł autorski pokazuje, szukała legend i podań szlacheckich jako materiału do swych opowiadań, znalazła tym razem tylko tyle, że w r. 1523 umarł Stanisław „książe Mazowieckie“, w trzy lata później jego brat Junosz, przycém „miała trudność panna Radziejowska z domu Junosza, na którą nie mieli (*sic*), aby gu otruła.“ Drugie przez nią używane źródło do téjże saméj wiadomości o Radziejowskiéj, rozszerzonej nieco w ten sposób, jakoby otruła obu ksiąząt, zadawszy im „jakową zalotniczą zaprawę, dla rozniecienia miłości i trzymania ich w więzach swoich“, dodało jeszcze tę drugą, że Mazowszanie dla pomszczenia ksiąząt „upiekli potém piekarkę z Krakowa i Kliczewską ziemiankę“. Oczywiście zbrodni żadne z tych źródeł pannie Radziejowskiéj nie przypisuje, owszem autor „Dziejów w Ks. Mazowieckiem“ powtarza podanie Bernarda Wapowskiego, że jedynie rozpustne życie i nadmierne pijatyki stały się przyczyną przedwczesnej śmierci ksiąząt. Nakwaska poszła jednak, ponieważ to jéj celom artystycznym lepiej odpowiadało, za wiarą ludu, który niegdys palił niewinnych sprawców

tęgo zgonu i za legendą, która najważniejszą rolę, bo zapoczątkowanie w tej sprawie, królowej Bonie przeznaczyła. Powtórzenie tej legendy, chociaż w tym jedynie celu aby jej zaprzeczyć, znalazła zresztą i w „Dziejach Ks. Mazowieckiego,“ gdzie autor mówi: „Znajdowali się takowi co mniemali, że Katarzyna dla dalszych widoków lekką trucizną książąt zgładziła, ażeby przeto haniebną przysługę królowi uczyniła; lecz pewnie się to stało bez wiedzy królewskiej“—czyli innemi słowy, że polityczne intrygi w grę tutaj nie wchodziły.

Panna Radziejowska wysunięta w tym tragicznym wydarzeniu naprzód jeszcze przez dawnych kronikarzy i głos ludu, musiała i w powieści stać się głównym motorem całej akcji. Jej to w opowiadaniu Nakwaskiej oddaje królowa Bona w ręce wykonanie swoich planów, polegających na tym, aby w jakikolwiek sposób, mniej lub więcej godziwy, przyłączyć Mazowsze do Korony, i w tym celu jako środek, do którego Radziejowska ma się w ostateczności udać, daje jej truciznę utajoną w złotej puszcze a mającej na pozór zawierać w sobie miniaturę królowej. Ale panna Radziejowska ma także własne swoje marzenia i plany. Rozbudziwszy zalotnie w księciu Stanisławie miłość do siebie, podczas gdy on chwilowo bawił na Krakowskim dworze, postanowiła tę namiętność wyzyskać i posadzić się na tronie książęcym. Zaczyna więc działać na własną rękę i we własnych celach. Nieszczęściem na drodze stają jej dwie kobiety. Najprzód Wisława, która dzieckiem znalezioną była podczas wojny na Litwie w zgliszczach spalonego domu, wychowana w głębi lasów przez swego zbawcę, a starego sługę książąt Mazowieckich, a później wyrosłszy w piękną i szlachetną dziewczycę, wzbudziła głęboką i szczerą miłość w sercu młodszego księcia Janusza. Janusz jakiś czas taił przed światem swe uczucia a następnie i małżeństwo, które zawarł z Wisławą, bojąc się, żeby Stanisław nie oparł się tym nierównym związkom. Obawy jego były atoli płonne; obaj bracia kochali się bardzo, i Stanisław nie tylko przyjął Wisławę, dziecko nieznanych rodziców, za swą bratową ale nadto przypuścił przy tej sposobności Janusza do spółdziału w rządach kraju. Tym sposobem panna Radziejowska ujrzała się pozbawioną połowy swego marzonego tronu i śmiertelną nienawiścią do Wisławy zapalała.

Gorszą była jeszcze druga przeciwniczka, bo groziła jej odebraniem samejże osoby Stanisława, bez której i tronu mieć nie było można. Stanisław czuł silny afekt do panny Radziejowskiej, jej wspańska postawa i pysznie rozwinięte wdzięki nie na żarty obudzały w nim pragnienie—ale nie posiadał stałości w uczuciach jak jego brat, był lekkim i wrażliwym na każde piękne lico,—kto wie, jaki kaprys mógł mu przyjść, i mógł się zająć na seryo tą uroczą, pełną

naiwnego wdzięku i szlachetności córką piekarza Giżanką, która niedawno z ojcem z Krakowa do Warszawy przybywszy, umiała swoją urodą zwrócić oczy księcia na siebie, i, o czém panna Radziejowska jeszcze nie wiedziała, poczuła do niego wielką, prawdziwą choć bez nadziei miłość. Plany panny Radziejowskiej zaczęły się mieszać. Stanisław w owéj porze jakoś dla niéj ostygął; wychodziły na stół projekty, żeby się żenił z córką jednego z książąt szląskich. Radziejowska wpadała w rozpacz i gniewy, postanowiła działać, i najprzód usunąć z drogi znienawidzoną parę spółksiążąt na Mazowszu: Janusza i Wisławę. Tajemną rozmowę cyganów, którzy mieli ich zgładzić ze świata, podsłuchiwała przypadkiem wierna i na wszystko poświęcić się gotowa Giżanka. Doniosła o tém księciu Stanisławowi, nie pominawszy i tego szczegółu, że głównym sprawcą zbrodni miała być panna Radziejowska. Stanisław, który dotychczas, choć nie całym sercem jak przedtém, Ignął jeszcze do Radziejowskiej, napisał do niéj list, że wie o wszystkiém co zamierza, że nią pogardza i zrywa nazawsze. Radziejowska zawrzała strasznym gniewem na rodzinę książęcą i na Giżankę, która swoim odkryciem pozbawiła ją tronu mazowieckiego. Wymyśliła iście szatańską zemstę, aby za jednym ciosem zgubić i książąt i szlachetną piekarczanekę. Ową trucizną Bony, a za pośrednictwem staréj cyganki zatrula pieczywo, które z piekarni Giżanki szło na stół książęcy i rzuciła podejrzenie, że to uczyniła Giżanka. Książę Stanisław umarł, niedługo potem i jego brat, a nieszczęśliwa Giżanka uniknęła tylko przez to okropnych męczarni stosu, że młody rycerz Ludosław, oddawna bez nadziei ją kochający, celną strzałą ugodził ją w serce, kiedy rozjuszony na morderców księcia lud prowadził ją już na miejsce strasznej kary. Mazowsze po stracie obu swych książąt przyłączone zostało do Korony; panna Radziejowska, wyszedłszy za mąż za pierwszego królewskiego kasztelana w Warszawie, rozsiadła się w grodzie mazowieckim, ale nie dała jéj tam spokoju „czarna mara“, mściwy duch nieszczęśliwéj Giżanki, pojawiający się w dawnym książęcym zamku, i dumna kasztelanowa umarła niedługo, znękana wyrzutami sumienia.

Na większém niż dotychczas płótnie wykonała Nakwaska ten obraz historyczny z większą niż inne dokładnością i precyzyą. Rzecz cała nabrała więcej ruchu dramatycznego przez częstsze niż gdzieindziej dyalogi i stosunkowo subtelniejsze wycieniowanie charakterów. Dwie główne postacie kobiece: Radziejowska i Giżanka, posiadają szczególnie tę zaletę, a zupełny kontrast, w jakim są do siebie postawione, przyczynia się nie mało do silniejszego ich zarysowania się i odstawania od tła. Różnica temperamentu stanowi głównie dwa odmienne od siebie charaktery książąt; zresztą koloryt ich dosyć

blady. Podania kronikarzy dostarczały autorce pewnych, niewątpliwie z natury wziętych rysów, że obaj bracia byli to ludzie o szerokich barkach i olbrzymiej sile, że kochali się w hulawczym życiu, w sutych biesiadach i pijatykach. Pogodzenie jednakowoż tych stron ujemnych ze szlachetnością uczuć i z bohaterską rolą, jaką książęta w romansie odgrywać mieli, musiało się Nakwaskiej wydawać zbyt trudnym, i dlatego pominawszy te rysy cechujące tak dobrze nie tylko pojedynczych ludzi, ale i owoczesną epokę, wołała im nadać więcej konwencyonalne barwy, i zrobić z nich dwóch bardzo przyzwoicie prezentujących się rycerzy. Ukazująca się w powieści na chwilę tylko Bona, chytra, układna, majestatyczną powagą maskująca niegodziwe zamiary, zgodna jest z tradycją, którą miała nieszczęście po sobie zostawić. Powiernica Radziejowskiej, stara dworka, Dzierwocka, jest tak od stóp do głów czarnym charakterem, że nie można nie obwinąć autorki o przesadę, od której zresztą nie była wolną także i przy kreśleniu charakteru panny Radziejowskiej. Oprócz tych ważniejszych figur snują się jeszcze w głębi postacie dworzan i rycerzy książęcych, pokazują się chwilowo sylwetki z ludu i mieszczaństwa warszawskiego, a wreszcie stara cyganka Jewa i wędrujący obóz cygański dodają temu obrazowi pewnej grozy tajemniczój, ulubionój niegdyś w romansach tak samo, jak sentymentalne światło księżycy.

Za tło historyczne tej obfitującej w dosyć zawikłane wydarzenia powieści służy po części dwór krakowski, po części książęcy zamek w Warszawie. Na pochwałę autorki należy to powiedzieć, że czuła różnicę, jaka w owiej epoce istnieć musiała między stanem cywilizacyjnym Korony a Mazowsza. Na zamku królewskim na Wawelu odbija się już odblask wysokiej cywilizacji renesansu, podczas kiedy siedziba książąt mazowieckich nosi na sobie jeszcze cechy patryarchalno-wojowniczej prostoty. Inne u nich jeszcze zwyczaje, inne potrzeby, inne sprzęty niż na dworze Zygmunta i Bony, nie ustępującym w świetności i w wykształceniu innym europejskim dworom. Dwaj ostatni książęta Mazowieccy, podług powieści Nakwaskiej, wzięli sobie właśnie za zadanie, aby zacofaną cywilizacją swego kraju podnieść i przez wprowadzenie nowych wynalazków, nieznanych dotychczas płodów ziemi i przemysłu ludzkiego zbliżyć ją do tego, co tak niedaleko od siebie widzieli, kiedy nagła śmierć te plany im przerwała.

„Obraz warszawskiego społeczeństwa w dwóch powieściach“ (Poznań 1842) przenosi nas znowu w te czasy, na które Nakwaska własnymi oczami bądź w młodości, bądź w późniejszym wieku patrzyła. „Szczęśliwa przygoda“, pierwsza z tych powieści, poczyna-

jąca się za Stanisława Augusta, a kończąca w dwadzieścia lat później, w tym czasie, kiedy Napoleon pokonawszy Prusaków wszedł do Warszawy, ma za przedmiot niespodziewaną zmianę fortuny, tak częstą w owęj właśnie epoce, gdzie jedne państwa ginęły a drugie powstawały, gdzie ci, co byli wysoko, spadali na dno, a na wierzch dostawali się ci, których przedtém w niskości pomiędzy tłumem rozemnić nie było można. Takiego losu doznała Balbisia, poddanka z dóbr starościny Borelskiej i służąca jęj w Warszawie. Posądzona o kradzież klejnotów swęj pani, której sprawców jednakże udało jęj się szczęśliwie odkryć i siebie od winy uwolnić, tęp bardziej pozyskała sobie zaufanie i przychylność pięknej starościny. Ale miała także to nieszczęście, że jako młodziutkie i nadobne dziewczę, zwróciła na siebie i oko pana starosty, który „obeznany oddawna z nader wolno pisanemi La Closa i Louveta romansami, chciał onych zasady, jak i encyklopedystów i filozofów ośmnastego wieku, teorye do własnego zastosować domu, osadzić Balbisę jako lubą przyjaciółkę w piękném ustroniu za rogatkami.“ Chciał tego, pomimo, że jego żona była „najpiękniejszą z ówczesnych piękności“, zachwycającą kobietą, której hołdy składali najwyżsi dygnitarze, którą król pierwszą do tańca zapraszał, a przytęp „w swej młodości poważną“ i wolną od najmniejszej skazy. Rozsądna starościna postrzegłszy na co się zanosi, umiała ze współdziałaniem poczciwej Balbisi tak rzeczy pokierować, że starosta licząc już na pewne zwycięstwo, osiadł na koszu. Zdarzyło się, że kamerdyner i sekretarz starosty zarazem, rodem Francuz, powziął równocześnie szczerą miłość do Balbisi. Starościna ułatwiła mu jego zamiary, dała Balbisi posag, ożeniła ich tajemnie i wyprawiła za granicę wprzód, zanim mąż dowiedział się co się święci. Balbina i jęj mąż znikli w świecie bez wieści. W dwadzieścia lat później znaleźli się dopięro i dali się poznać starostwu, on jako jenerał w świecie Napoleona, hr. Desroches, ona jako hrabina jego żona. Fale rewolucyi francuskiej wyniosły przez ten czas byłego kamerdynera w górę, a reszty dokonały jego męstwo, przytomność umysłu i przychylność cesarza. W powieści tęp znajdujemy kilka rysów obyczajowych z czasów Stanisława Augusta, które Nawkaska z żywej tradycyi a po części ze wspomnień własnych znać mogła. Opis balu danego dla króla, toaleta pani starościny, stosunki jęj domowników do swęj pani — oto ważniejsze z tych rysów. Pan starosta ze swemi romansowemi zachciankami podług „teoryi filozofów“ i pani starościna, jako wielka dama, wywierająca urok wszędzie, gdzie się pokaże i podbijająca wdziękiem właściwym owęj epoce, są to także postacie, które choć lekko naszkicowane, noszą na sobie cechę prawdy historycznej, pochwyconęj z natury. Ze szcze-

gólną lubością traktowana jest przez autorkę szczególnie ta urocza starościna. Czuć, że jednym z jej najukochańszych ideałów był ideał doskonałej damy wielkiego świata, w której wyższość umysłowa łączy się z wdziękiem kobiecym. Nakwaska nieraz podobne postaci kreśliła, przypominamy tylko Kazimirę w jednej z jej francuskich powieści, i części jej jeszcze, pełna jakiegoś narodowej dumy, wypowiadała to zdanie, że ze wszystkich kobiet świata między Polkami można jedynie spotykać takie idealne doskonałości kobiece, to coś, co sprawia, że się przed kobietą uginają czoła z uwielbieniem, jakby przed boginią, w której zarówno ciało jak i dusza są wyższe od innych śmiertelnych.

W zakończeniu tej powiastki fizyognomia Warszawy, jaką była w r. 1807, prezentacja dam Napoleonowi w „obrazowej sali na zamku“ należą do wspomnień, któremi nie powinienby pogardzić ani historyk, ani jakikolwiek malarz obyczajowy owej epoki. Są tam wreszcie i inne charakterystyczne drobne szczegóły, których gdzieś znaleźć nie można, chyba w takiej jak ta powiastce, gdzie autor opowiada to, na co sam patrzył i co znał z życia powszedniego. Pani starościna naprzykład zaproszona przez hrabinę Desroches na śniadanie „z różnego mięsiva złożone — przyjęła tylko filiżankę czekolady“, nie będąc „przyzwyczajona jadać tak rychło, bo prawie jeszcze nikt wtedy u nas wyobrażenia o wieczornych obiadach nie miał.“ Widać z tego, że choć już dawno u nas po francusku mówiono, czytano i ubierano się, to jeszcze w początkach tego wieku obiad jadano po staropolsku jeśli nie w samo południe, to w godzinach bliskich tegoż.

Drugim obrazem społeczeństwa warszawskiego z doby nierównie późniejszej, bo niezawodnie z czasu około 1840 r. jest „Obligacya udziałowa.“ Autorka nazywa tę powiastkę „ustępem z wydarzeń życia domowego“, ale możnaby ją bez przesady nazwać obrazem stosunków społecznych, trafnie i oryginalnie pochwyconych. Chodzi tutaj o toż samo, co w ostatnich szczególnie czasach stało się jednym z wybitniejszych tematów pod piórem naszych powieściopisarzy. Za podkład służy bowiem antyteza dwóch ras: niemieckiej i polskiej i stosunek, w jakim jednostki do tych ras należące wskutek swoich odrębnych właściwości znajdują się do siebie. Z jednej strony stoi stary, bogaty Niemiec, Gotlieb Lombert, który milionowego majątku dorobił się na polskiej ziemi, dufny w swoje bogactwa, arogant wciskający się wszędzie i chcący wszystkim imponować swoim złotem. Z drugiej strony polska rodzina wysokiego urzędnika pana Kłoczewskiego, dosyć niegdyś zamożna, ale obecnie bez pieniędzy i w kłopotach finansowych z tego powodu, że

pan Kłoczewski, człowiek zresztą „przystojny, dobrze wychowany, pełen grzeczności, dowcipu i salonowej wziętości“, ożeniwszy się drugi raz bogato i do tego z hrabianką, „stał się bezrządnym i nie-dbałym“, zaczął żyć nad stan i grać grubo w karty. Stary Lombert korzystając z tego smutnego położenia Kłoczewskich, narzuca się na męża ich córce Amelii i chociaż był „poszukiwany przed laty, a nawet i niezbyt dawno przez wielkie i bogate damy“, chce ją a nie inną „uszcześliwić.“ Amelia odpowiada mu z całą otwartością, że „nie da się milionem złotych zakupić“, a przytém, że już kogo innego kocha. Wtedy Lombert, mający widocznie coś, o czém Amelia nie wiedziała na poparcie swych żądań, oświadcza, że da jój miesiąc czasu do namysłu — „a wtedy, kto wie! może wcale inną odpowiedź uzyskam.“ Tém coś, co panu Lombertowi taką pewnością dawało, były to po prostu weksle pana Kłoczewskiego przez niego wykupione i w jego rękach znajdujące się. Poszedł więc niezwłocznie do ojca, ażeby się na Anielkę poskarżyć, że jemu, „od którego los i dobre inię jój własnego ojca zależy, odmówić poważyła się!“ Pan Kłoczewski przyparty do moru groźbami starego milionera, użył całej swój wymowy, wszystkich błagań i zaklęć, ażeby córkę skłonić do téj ofiary: „Wystaw sobie nakoniec — mówił, wyjawiwszy jój rozpaczliwy stan interesów — że ci to Pan Bóg nakazuje, ażebyś na krótko panią Lombertową została, a ojciec twój znowu śmiało między przyjaciółmi oczy podnieść zdoła; czyli, pomyślał sobie, śmiało i z pełnym workiem do ćwika lub faraona powróci.“ Amelia złamana perswazyami ojca, przystała. I byłaby padła znowu więcéj jedna ofiara lekkomyślności i życia nad stan takich, jak Kłoczewski zacnych ojców i obywateli, znowu jeden więcéj Niemiec byłby tryumfował ze skutków tych polskich wad narodowych, gdyby... gdyby nie prosty przypadek. Amelia wygrała na oblig udziałowy, będący w jój posiadaniu i prawie zapomniany znaczną sumę, przy pomocy której wykupiła, tak, że się Lombert nie domyślał, kto to robi, ojcowskie weksle i siebie uwolniła od małżeństwa ze wstrętnym adonisem.

W powiastce Nakwaskiej Lombert wygląda przedewszystkiém śmiesznie i komicznie. W owe czasy typ tego rodzaju musiał się widać takim jeszcze wydawać. Dzisiaj wydaje się już nie tylko niebezpiecznym ale i groźnym — tam, gdzie się pojawi, robi się nie komedia, ale przygotowuje tragiczna katastrofa. To jednak najfatalniejszą jest w tém rzecz, że jak przed laty pięćdziesięciu tak i dzisiaj, autorowie nasi na rozwiązanie téj kwestyi nie mogą znaleźć innego sposobu, tylko jakiś niespodziewany szczęśliwy uśmiech fortuny, albo jakąś pomoc z zewnątrz przychodzącą. Zdawałoby się z tego, że i społeczeństwo całe nie znalazło w sobie na to innego sposobu.

Nieraz już, mianowicie na początku naszej pracy, gdzie o młodszych latach Nakwaskiej mówiliśmy, przychodziło nam wzmiankować o jej wspomnieniach z czasów pruskich i ks. warszawskiego. Pisane w r. 1840 zostały one wydrukowane dopiero w 1852, już po śmierci autorki. W tym to czasie podał je do druku jako „Wyjątki z pamiętników współczesnych“ Józef Korzeniowski i umieścił w Gazecie Warszawskiej (r. 1852, N. 197 i nast.). Z listu jego do redaktora Gazety umieszczonego na czele dowiadujemy się, że nie wszystko co znalazł w rękopiśmie Nakwaskiej wydrukował. Niektóre ustępy zostały pominięte dlatego, że autorka opisywała w nich wypadki polityczne, które zasły jeszcze za czasów jej dzieciństwa, których zatem wtenczas ani należycie, ani w całej rozciągłości pojmować i wiedzieć nie mogła, i później według skądinąd zebranych wiadomości przedstawiała; inne znowu rzeczy nie mogły być na widok publiczny podane ze względu zwykłego bardzo przy wydawaniu wszelkich pamiętników, że trzeba zważać na osoby i pamiętać o starej zasadzie: *nomina sunt odiosa*. Może być że kiedyś, gdy z biegiem czasu, jak wszystko, tak i te względy ustaną, ukażą się Wspomnienia Nakwaskiej w tym zwłaszcza drugim punkcie uzupełnione. Ale już dzisiaj możemy mieć choć w przybliżeniu pewne wyobrażenie, co w nich w tej części osobisto-anegdotycznej zostało pominięte. Wiadomo, że autorka jeszcze w rękopiśmie udzieliła swych wspomnień Fryd. Skarbkowi i na nich to osnuł on swoją powieść: „Pamiętniki Seglasa.“ Z porównania tej powieści z istniejącymi w druku pamiętnikami wynika, że Skarbek wiernie trzymał się swojego źródła, że opisywał wypadki i ludzi tak, jak je znalazł opisane u Nakwaskiej. Niewątpliwie zatem wszystko to, co zmyślony jego bohater, jako gubernier w różnych polskich domach przebywający pod fikcyjnymi imionami o ich wewnętrznym życiu, o nie bardzo budujących stosunkach małżeńskich, o fałszywym zapatrywaniu się na edukacją dzieci, o zamięłowaniu w zbytkach i grze hazardownej i t. p. opowiada, musi być także mniej lub więcej, stosownie do wymagań artystycznych, przerobionem powtórzeniem tego, co napisała Nakwaska jako fakty rzeczywiste o osobach z imienia i nazwiska wymienionych. Obrazy przedstawiane przez Seglasa i robione przez niego spostrzeżenia rzucają wogóle niepoehlebne światło na ówczesne społeczeństwo — nie dziw, że Korzeniowski powstrzymał się, gdy mu przyszło dać klucz i historyczny komentarz, znaczenie tych powieściowych postaci wykrywający.

Zresztą chociaż tak przetrzebione „Wspomnienia“ zawierają w sobie mnóstwo rysów charakteryzujących obyczaje ówczesnego świata i nie mniejszą liczbę szkiców i sylwetek ludzi, co w tym świe-

cie szczuplejszą lub większą odgrywali rolę, począwszy od tak nija-kiój istoty jak pan Vauban a skończywszy na Napoleonie. Tak ludzie jak i wypadki trafnie ujęci i skreśleni bez pretensyi do wielkich historycznych obrazów, ale w tym niniejszym zakresie towarzyskiego i codziennego życia, w jakim się oczom Nakwaskiej przedstawiali. Stąd pełno także tych drobnych szczegółów, które późniejsi dziejopisarze tak skrzętnie skąd mogą chwytać, bo bez nich i fizyognomia całej epoki staje się często niejasną i ludzie historyczni nie mają tego charakteru i życia na twarzy, które ich robią naprawdę czującymi i żyjącymi istotami. Historycy i malarze obyczajowi owéj epoki znajdują w tych wspomnieniach nie mało dla siebie materiału i dotychczas podobno nie tylko jeden Skarbek czerpał już z tego źródła. Oprócz téj historycznej wartości, „Wspomnienia“, jak jeszcze we wstępie do nich napisał Korzeniowski, „mają w wielkiej części artystyczną wartość; są w wielu miejscach obrobione z życiem, z właściwym autorce rozumem, wielką znajomością świata i ludzi.“ Poczynają się one od roku 1792, kiedy autorka lat 10 życia liczyła. Po obrazie jéj dzieciństwa pełnym powabu „stosunki towarzyskie, zabawy i osoby do nich wchodzące za pruskiego rządu, opisane są najobszerniej z wielką żywością i swobodą.“ Odznacza się tutaj opis domu księcia Józefa i charakterystyka pani de Vauban, jak niemniej tego wyższego towarzystwa, które się u niéj „pod Blachą“ zgromadzało. Nader również są ciekawe obrazy z czasu pobytu Francuzów w Warszawie przed i po traktacie Tylżyckim, opisy tych rozlicznych balów i zabaw, któremi czczono Napoleona i jego marszałków lub które jego dygnitarze wydawali, a jako kontrast do nich owe skromne, etykietalne i nudne wieczory u króla Saskiego, których Nakwaska byłaby się chętnie wyrzekła, gdyby obowiązek nie nakazywał jéj być na nich się pojawiać. Wizerunki wreszcie kilku osób, „które majątkiem lub pięknnością zabłysły na ówczesnym świecie jak fajerwerk i znikły w ciemności i zapomnieniu“ dopełniają galeryą tych pamiątek, które dla nas by po większej części nie istniały, gdyby im pióro Nakwaskiej nie było zapewniło trwalszego bytu.

„Wspomnienia“ jéj kończą się na upadku Napoleona, jak gdyby autorka powiedziéć nam chciała, że tu zarazem kończy się najpiękniejsza epoka jéj życia, że po za tém nie ma nam już nic ważnego do powiedzenia, że w tych latach dzieciństwa i młodości zawarło się wszystko, co było dla niéj szczęściem i co godném było wspomnienia, że co się później stało tak w jéj życiu prywatném jak i na widowni historycznej, nie może iść w porównanie z tą niezwykłą w świecie epoką, która wydała tylu nadzwyczajnych ludzi i tyle wielkich spłodziła wydarzeń, a dla niéj osobiście była tą złotą życia

chwilą, za którą się człowiek wiecznie ogląda, wiecznie po nią tęskni i nigdy zapomnieć jej nie może.

To też po roku 1816 mówiliśmy ciągle o jej różnych pracach, a nie o niej samej, bo równocześnie w tym czasie usychają nam oba źródła, z których o niej mogliśmy mieć wiadomości: na tej chwili kończą i „Wspomnienia“ i istniejąca dotąd jej korespondencya z siostrą. Wielkiej straty ani historia literatury ani ciekawość czytelników na tém nie ponosi. To życie płynęło odtąd zwykłym, jednostajnym korytem, jak najczęściej życie każdego człowieka, który zmierza już do końca swego zawodu. Nowe horyzonty myśli już się nie odsłaniają, świeższe i silniejsze uczucia już się nie budzą, maszyna ludzka czém się dotychczas stała przez pracę młodości i dojrzałego wieku tém pozostaje nadal, i tylko coraz ciężej, z większym trudem się porusza. Koniec życia ludzkiego pozbawiony wszystkich powabów i roskoszy, powinienby przynajmniej być zawsze podobnym do pogodnie zachodzącego słońca. Niestety! czy to już takie zrządzenie losu, czy skutek to tylko braku siły odporniej, która nas w tym wieku opuszcza, ale najczęściej przy końcu człowiek przez to czuje że żyje, że czuje dotykające go ciągle nieszczęścia i dolegliwości.

Bądźcobądź uważany za obowiązek zamieścić tutaj tych kilka szczupłych wiadomości, które z drugiej połowy jej życia posiadamy.

W r. 1831 dotknął Nakwaską bolesny cios przez rozłączenie się z jednym synem Henrykiem, który w tym czasie musiał zagranicę się przenieść. Odtąd tylko chwilowo i bardzo rzadko z nim się widywała. W r. 1837 odbyła podróż do Szwajcaryi do Villard, gdzie syn z rodziną swoją przebywał, i podróż tę opisała w Przyjacielu Ludu (: Rok V, 1838, T. I). Opuściwszy Wiedeń w końcu czerwca przez Tyrol dostała się do Szwajcaryi, zwiedziła Genewę, Bern, brzegi jeziora Lemanu, gdzie spotkała się ze wspomnieniami Roussa i więźnia z Chillonu i odbyła pielgrzymkę do Ferney, niegdyś siedziby Woltera, „owój literackiego i eleganckiego świata Mekki“. Z nieznanych nam bliżej powodów i wśród nieznanych okoliczności zabierała ona wtenczas „na długo“ wnuczki od ich rodziców i to właśnie było jedynym celem tej podróży. Że to rozdzielenie i pożegnanie „może na zawsze“ bolesnym było dla stron obu, że Nakwaska dużo przytém smutków i wzruszeń przejść musiała, tego nie trzeba mówić. Z końcem sierpnia opuściła Villard z powrotem do kraju.

W parę lat później w roku 1844 wyjeżdżała znowu na Szląsk i wspomnienia „tjej krótkiej podróży“ wydrukowała w roku następnym w „Pielgrzymie“ (Tom I i II). Przez Wrocław dostała się do Salzbrunn, gdzie się leczyły, jak pisze, „ukochane jej istoty.“ Nie wiemy, czy to był jej syn z żoną, czy też, co wydaje się prawdopo-

dobniejszym, te jej wnuki, które przed laty siedmiu od rodziców wzięła, a teraz z niemi na kuracyą do Salzbrunn pojechała. Przez Drezno, Poznań, a następnie Gniezno i Toruń powróciła do domu.

Wiemy jeszcze o jednej jej podróży do Karlsbadu w celach leczniczych naturalnie, znacznie wcześniej, bo jakoś niedługo po r. 1831 przedsięwziętej a opisaniej przez nią w jednym z roczników „Niezapominajki“ Korwella.

Oprócz tych rzadkich i niezbyt długich wycieczek zagranicę, Nakwaska zresztą przebywała stale w kraju; zimą w Warszawie, latem w swojej Małejwsi w Płockim. W mieście, jak już dawniej wspomnieliśmy, zaraz po r. 1816 otworzyła u siebie salon literacki i utrzymywała go odtąd ciągle. Jaka była fizyognomia tego salonu dawniejszemi czasy, brak nam do określenia tego wszelkich wskazówek, o późniejszych jego latach mamy kilka wiadomości zapisanych przez ludzi, którzy tam uczęszczali. H. Skimborowicz, który zaczął być gościem na „niedzielach“ pani Nakwaskiej po r. 1839, wtenczas kiedy równocześnie odbywały się „piątki“ u pani z Lipińskich Lewockiej a „poniedziałki“ u pani Łuszczewskiej, szczególnie zdawał się być uderzonym na tych zebraniach (jak opowiada w artykule: „Polki autorki i artystki“ w Bluszczu r. 1879) imponującą osobistością samej gospodyni. „Wspaniałej postawy, wzrostu dość sporego, głowy zawsze w górę podniesionej i śladów pozostałych jeszcze z piękności w rysach twarzy, wreszcie imponującego spojrzenia, które ongi musiało tłumy kłaść u jej podnoża“, pokazywała Nakwaska na pierwszy rzut oka, że była niegdyś piękną i przywykłą do hołdów, a zawsze rozumną i energiczną. Poza tém jednak goście jej literackiego salonu, w tych czasach późniejszych przynajmniej, nie wiele mogli znajdować interesu i przyjemności. Nakwaska, przyzwyczajona zawsze prym trzymać, aż do zbytku zajmowała ich swoją osobą; zabierała ciągle głos po to, ażeby gościom odczytywać bez znużenia swoje Pamiętniki, zapytując ich na domiar złego o zdanie o nich, co naturalnie niejednego z przytomnych mogło w niemaley ambaras wprowadzić. To odczytywanie powtarzało się tak często, że uczyniło wieczory pani Nakwaskiej „nudnemi“.—„Sam słyzałem (opowiada dalej Skimborowicz) owe wspomnienia przeszłości kilkakroć odczytywane, szczególnie o balu, na którym był Napoleon i pani Walewska. Nie uniknął tego i Kraszewski w czasie bytności swiej 1846 r. w Warszawie“. Nic dziwnego! zacna matrona utonęła całą duszą w tych wspomnieniach i błogo jej było wskrzeszać czasy swiej świetnej młodości—choć dla słuchających, a zwłaszcza po razy kilka, nie mogło to mieć aui w setnej części tego powabu. Inny znowu świadek, zdaje się również naoczny, pani Seweryna Pruszkowa

(w Tygod. Illustr. r. 1862) dodaje: „Na te wieczory (literackie) szanowna gospodyni domu wprowadziła zabawę literacką: zadawała sama pytania na piśmie, pełne dowcipu i żywotnego zajęcia, które obecne osoby rozbierały pomiędzy siebie, a w umówionym dniu przynosiły i odczytywały skreślone wierszem lub prozą odpowiedzi“... Znadto to pachnie jeszcze hotelem Rambouillet, a chociaż p. Pruszkowa z grzeczności zapewne nazywa te pytania „pełnemi dowcipu“, to przecież podobne ćwiczenia na dany temat jakoś zbyt pedantycznie dziś wyglądają, a i niektórym z ówczesnych uczestników mogły za bardzo przypominać dawno przez nich przebyte czasy szkolne i profesorską powagę. Później, kiedy Nakwaska zaniemogła na oczy, zawsze czynna, siedząc w swym salonie „nigdy z rąk nie wypuszczała roboty, robiła na pamięć tasiemkę, nawet podczas licniejszego w domu jój zgromadzenia“—a nie mogąc już czytać ze swego ulubionego rękopisu, „przy takiej robótce lubiła opowiadać wypadki z dawnych czasów, szczególnie z księstwa Warszawskiego“.

Państwo Nakwascy cieszyli się zresztą ogólną sympatją i wziętością u ludzi rozmaitych zawodów, a dom ich tłumi nieraz w sobie mieścił: „w święta Wielkanocne (powiada Skimborowicz) całą tam prawie ówczesną mogłeś spotkać Warszawę.“ Kiedy zaś lato przepędzali na wsi, gdzie ich stanowisko i obowiązki były inne, tam znowu ona „zajmowała się jak matka dolą swych włościan. Ostatnim nawet jój utworem piśmiennym były (nieznane nam) wiersze, które mi polecała się pamięci miłych kmiotków“ (słowa Pruszkowej).

Nakwaska umarła w trzecim roku po śmierci swego męża, w Małejwsi 21 października 1851.

IV.

Kiedy przed laty trzydziestu przedtém Nakwaska czytywała jedynie tylko książki w języku francuskim pisane, a pomiędzy niemi także bardzo wiele romansów historycznych, nasunęło jój się pytanie, dlaczego autorowie tych dzieł z wyjątkiem kilku wcale mierznych, do prac swoich nie czerpali tematów także z dziejów polskich, czyli jak ona to sama w przedmowie do pierwszych swoich powieści powiada: „jakim sposobem się to stało, że naród tak oryginalny przez swoje obyczaje jak i formę rządu, tak interesujący przez zmiany swego losu jak i szlachetność charakteru, tak sławny ze swych czynów jak i nieszczęść, tak mało zajmował wyobraźnię romanso-pisarzy?“

Pisząc te słowa Nakwaska miała na myśli tylko pisarzy zagranicznych. Im to zarzucała poniekąd, dlaczego tak mało zajmują się dziejami polskimi, mogącemi im dostarczyć dużo i nowych przedmiotów, nie pomyślała zaś o tém, że przedewszystkiém byłoby to obowiązkiem naszych autorów wziąć się do uprawy téj zaniedbanéj niwy, i że ich to należałoby do tego przedsięwzięcia zachęcić. Ale miała ona, jak z tego właśnie widać, wtedy to jeszcze przekonanie, że umysł polski nie był zdolny podążać w ślady romansopisarzy zagranicznych i dorównać im w tworzeniu dzieł, łączących w sobie z powagą prawdy historycznej urocze barwy poetycznego zmyślenia.

Dla podniesienia honoru narodowego, dla zwrócenia uwagi autorów zagranicznych na „źródło mało znane, z którego mogliby zaczerpnąć przedmioty zarówno interesujące jak i nowe“ wydała ona właśnie owe pierwsze powieści po francusku pisane, z których połowa osnuta jest, na wypadkach lub podaniach historycznych. Miała to niby być próba piękności dziejów polskich i dowód, że się one jak inne do tworzenia na ich tle powieści historycznych nadają.

Bądźcobądź, czy z tych czy jeszcze z innych, może instynktowo tylko odczuwanych pobudek, kielkowała w niej już wtedy myśl stworzenia tego działu literatury, którego nam brakowało.

Niedługo, licznie właśnie w najbliższym lat dziesiątku pojawiające się romanse historyczne polskie i przez Polaków pisane musiały przekonać Nakwaską, że Francuzi i inni cudziemcy nie posiadali wyłącznego na to monopolu, a równocześnie mogły także wzmódz w niej zaufanie do własnych sił swoich.

To pewna, że w zawodzie swoim literackim autorka nasza wzięła sobie za szczególne zadanie tworzyć powieści historyczne, i to za najwłaściwsze swoje powołanie uważała.

O téj gałęzi twórczości miała ona wprawdzie nie zbyt głębokie ale prawdziwe pojęcie, które prostemi słowy w pierwszych wierszach „Czarnej Mary“ w ten sposób wyraziła: „Bo te pisma (romanse historyczne) tak teraz upowszechnione, poniekąd historią uzupełniać się zdają; a gdzie ona prostą tylko tkankę wcale pospolitych zdarzeń wystawia, tam pisarz powieści, tysiączne na téj tkance wyrabiając wzory, upiększa wypadki, zapełnia ich przerwy drobnostkami (!) czasowe obyczajami malującemi, nadaje życie i ruch osobom i przedmiotom, z któremi czytelnika obznajmia.“

Walter-Scott, którego kilka wierszy dalej „nieśmiertelnym pisarzem z Abots-ford“ nazywa, był naturalnie jak całej plejadzie owoczesnych naszych romansopisarzy i jój także najpierwszym wzorem. Całe prowadzenie rzeczy, ogólny ton w stylu autorki i w uczuciach jój bohaterów, dekoracya wreszcie, którą stanowią bądź obrazy na-

tury, bądź wnętrza zamków i dworów szlacheckich, wszystko to niby słabsze echo tego potężnego głosu, którym Walter-Scott do współczesnych przemawiał, odbija się w historycznych powieściach Nakwaskiej. Powtórzenie to bezwątpienia byłoby silniejszym, gdyby autorka miała bogatszą i rozleglejszą fantazją i większy dostatek historycznych i archeologicznych szczegółów. To co się nazywa kolorytem historycznym, choć w istocie jest tylko złudzeniem, da się jedynie osiągnąć przez użycie w jak największej liczbie tylko drobnych rysów, któremi odróżniają się od siebie zarówno jednostki jak i epoki całe, skoro w gruncie rzeczy natura ludzka zawsze tą samą pozostaje. Że Nakwaska tych specjalnych znamion nie miała tyle ileby ich trzeba było, nie jest to zresztą ani jęj osobistą wadą ani témbardziej winą. Ogólna nasza znajomość przeszłości nie dorosła jeszcze była wówczas do tego, ażeby którykolwiek z malarzy obyczajowych mógł był rozporządzać wielką liczbą takich charakterystycznych rysów, dających nam złudzenie historycznej prawdy.

O ile jednak mogła i pod tym względem szła Nakwaska za przykładem Walter-Scotta. Jak on „rzadko kiedy oddalał widownią swoich powieści od gór lasów i strumieni“ (słowa wyjęte z „Czarnej Mary“), tak i ona najchętniej i zapewne z całą samowiedzą scenę działania swoich powieści umieszczała w tych stronach i okolicach, w których sama żyła albo które znała z naocznego widzenia. A więc najczęściej na ziemi nad średnią Wisłą leżącej, na Mazowszu i w Płockiem, które corocznie prawie wzdłuż przejeżdżała, odgrywają się jęj powieści, czasem w Krakowie albo w lesistych okolicach Karpackiego podgórze, po którym z podróży do kąpiel przedsiębranych tak błogie zostało u nięj wspomnienie.

Było to zresztą skutkiem jęj dzielnego, prawie męskiego rozumu, że w sztuce hołdowała prawdzie i tę za fundament i duszę poetycznego zmyślenia uważała. Kiedy w opisie podróży do Szwajcaryi, skąd, jak sobie przypominamy, ze smutnej zapewne konieczności zabierała swoje wnuki z rodzicielskiego domu, opowiada, że równocześnie z tą bolesną sceną rozłączenia w najbliższym sąsiedztwie odbywało się gwarnie i hucznie wesele jakiegoś bogatego pana, przychodzi jęj na myśl, że „dwa tak sprzeczne życia ludzkiego wydarzenia mogłyby służyć za przedmiot malarzowi równie jak i poecie, ale (dodaje z wyraźnym oburzeniem i zgorszeniem) nadto są *prawdziwe*, ażeby się niemi zająć chcieli, bo sztuka woli tworzyć niesłyszane nigdy wypadki, jak naśladować prawdziwie zajmujące istotnego życia wydarzenia.“

Kto się tak zapatrywał na istotę sztuki, nie dziw że mógł choć nie obdarzony wielkimi zdolnościami artystycznymi naszkicować

kilka prawdziwych typów, zachować nam pamiątkę kilku pełnych życia postaci i kilka obyczajowych rysów ze swój epoki, jak to uczyniła Nakwaska w niewielkiej liczbie powieści, które wyszły z pod jej pióra.

W literaturze nie zajęła ona celniejszego miejsca, ale życiem swoim dała nauczający przykład, jak wiele można zrobić z siebie przy dobrych chęciach i przy pracy nad sobą. Przez cudzoziemskie w młodości wychowanie napoły zobojętniała dla kraju ojczystego, stopniowo oczyszcza swoje wyobrażenia, otrząsa się z obcych naleciałości, i coraz wyżej postępuje w pojmowaniu i w miłości tego co jest swojskiem i narodowem. W sercu jej znajduje czułe echo każda, zła czy dobra, zmiana w losach ogółu, a rozum jej orientuje się szybko w wypadkach i należycie oceniać je umie. Ta wielkoświatowa niegdyś dama, która poza dworem i salonem długo nie widziała i nie znała innego świata, w starszych swoich latach przejmując się do żywego dołą prostaczków i maluczkich, przypatruje się ze współczuciem ich moralnej nędzy i ciemnocie, i w pomocy klas wyższych, w wypełnieniu przez nie obywatelskiego obowiązku, chciałaby znaleźć na to lekarstwo. Jednym słowem „zacna i rozumna kobieta“, jak ją nazwał Korzeniowski, dobra obywatelka.

Adam Belcikowski.



F. 6783

F

6783